

KARTKI Z KALENDARZA

1939 ROK (2)

5 WRZESNIA – WTOREK

Kolejne przegrane na trasach odwrotu Naczelna Dowództwo z największym niepokojem obserwowało sytuację w centrum frontu. Oddziały niemieckie sformowały Wartę zmuszając armię „Łódź” do odhodzenia w kierunku Warszawy. Na nie zdążyła się próba uderzenia z strony lewej dowodzonej (często zmyślnie) rozkazami, nadmierne rozczłonkowanie ugrupowań, słabo pracujące rozpoznawanie „Prusy”. Rozbić uległy kolonne bataliony, pułki i dywizje z tej armii, wystawiane na ataki nieprzejścielnych związków pancernych i formacji lotniczych; przegrana 10 DP zdecydowała o utracie Piotrkowa Trybunalskiego. Ginęli dowódcy (do 5 IX m.in. poległo 2 dowódców pułków i 14 batalionów) oraz żołnierze, poplecy wsi i miasta.

W sztabie armii „Kraaków” czekali na napieciu na dalsze ruchy niemieckich grupowań pancernych. Można było jedynie liczyć na błędne decyzje wroga, bo wyczerpały się własne odwody. Gdyby tak gen. A. Szylling miał do dyspozycji więcej jednostek pancerno-motorowych (10 BK płk. S. Maczka powstrzymał od 1 do 5 IX napór całego korpusu pancernego – Niemcy posuwali się dziennie za ledwie o 7–10 km).

Wydawało się, że uległa poprawie sytuacja na północ od Warszawy. Do obrony szływa się Modlin, a rozpoznawanie lotnicze nie potwierdziło tu obecności kolumn czołgów. Zlekceważono w Naczelnym Dowództwie pierwsze meldunki o niemieckich patrolach w rejonie Różana. To tu właśnie narastało nowe niebezpieczeństwo.

Płk. M. Porwit w „Komentarzach do historii polskich działań obronnych 1939 roku” tak podsumował pierwsze dni zmagania z najeźdźcą: „310 walk, najwięcej w pasie armii „Kraaków”, „Łódź”, „oddziały polskie spełniły wiele zadań ponad obiektywne możliwości, wiele w granicach możliwości. Nie było w mocy żołnierza sprostać zadaniom potężnym przez dowódców operacyjnych lub taktycznych wbrew zasadom sztuki wojennej. A takie właśnie zadania kazało oddziałom wykonywać przy odhodzeniu spod Miawy, nad Osą, w Borach Tucholskich, pod Sieradem, Piotrkowem, Janowem i Pączyńką.

6 WRZESNIA – ŚRODA

Nieporozumienie pod Różanem. Przeprowadził wchodził w pas obrony armii „Modlin”, ale miała większe znaczenie dla SGO „Narew”. 5 września czołowe pododdziały dywizji pancernej „Kempf” zaatakowały przedmościa rzańskie, bronione przez 113 pp ze składu 41 DP (GO „Wyszków”). W tym czasie zdzielenie (szkandowała łączność) polskie Naczelne Dowództwo przygotowało... akcje zaczepną spod Pułtuska w kierunku zachodnim. W nocy dowódcą 41 DP wycofał przedwcześnie z przyczółka 115 pp, nie niszcząc na domiar zęgu mostu na Narwi (brakowało materiałów wybuchowych). Te fatalne decyzje ułatwiły przeprowadzenie wroga (gen. W. Bortnowski: „W dzień rusaść się niepodobnie, bo wystąpiła wojna do nogi”). Pobita została czołowa nadzieja Naczelnego Wodza – armia odwodowa „Prusy” (m.in. przegrana 13 DP pod Tomaszowem Maz.).

Nocą z 5 na 6 września wyjechał z Warszawy prezydent I. Mościcki, w ciągu dnia ewakuowały się agendy urzędów centralnych (premier gen. F. Słojewski-Skłodkowski: „Rząd ucieka z Warszawy. Do widzenia po zwycięskiej wojnie”), a po nich i marszałek Smigły-Rydz ze swym sztabem; ppłk R. Umiański nakazał przez radio, by na wschód udawały się mężczyźni zdolni do noszenia broni. Wrócić miały piorunujące, bo przecież w dniach poprzednich radio i prasa nader optymistycznie nie pierwszy i nie ostatni to przypadek antylnego traktowania narodu przez rząd! Rozmawiały rozwój sytuacji.

W Białymstoku akcja rozproszenia ludności objęto osoby nie posiadające nieruchomości na terenie miasta, pozabawione pracy i przydziału do organizacji paramilitarnych, zamieszkałe w pobliżu obiektów szczególnie zagrożonych (tury koleje, elektrownie). Przestraszeni, by skłupy były otwarte w zwykłych godzinach (spóźniwszy od 7 do 19-tej). Opornych karano, „jako mściwicieli spokoju i porządku publicznego”.

Tego dnia, po odparciu dwóch ciężkich ataków, ale wobec groźby okrzęzenia, batalion 135 pp (mjr S. Nowicki) oddał Grajewo. Oddziały niemieckie kierowały się znowu na Strzyżów, a stąd na Stawisk – Łomżę i Jedwabno-Włocławek. Kończył się pierwszy tydzień wojny.

7 WRZESNIA – CZWARTEK

O 10.15 na ruinach Westerplatte pojawiła się biała flaga. „Kiedy się wypełnił dźwięk”, po przedmianach i dniach walk skapitulowali żołnierze mjr H. Sucharskiego, bohaterowie Westerplatte.

Dowódca SGO „Narew” gen. C. Miot-Fijałkowski próbował bez rezultatów zmoutować akcję mającą na celu odzyskanie linii Narwi. Około godz. 16.00 podeszły pod Włocławek 10 niemieckiej dywizji pancernej. Obrona wystrzeliła most na Narwi i ostrzelała ogień artylerii wroga wozy bojowe. Znaczące straty poniesli Niemcy pod Łomżą, a próba zdobycia miasta wstępnym bojem „rozbiła się” o męzną obronę Polaków (gen. H. Guderian). Podobnie było i pod Nowogrodem. We wszystkich tych przypadkach pododdziały SGO „Narew” miały czas, by przygotować system obrony, korzystać też z osłony schronów, mogły liczyć na życiową pomoc ludności.

Niemiecy, zaplanowany odskok na linię frontu, z rzeką zmieniającą się w wyruszenie, chaotyczne cofanie poszczególnych jednostek. Mało było nie tylko na walną bitwę nad Włocławkiem, ale i na zorganizowanie kontrolowanego odwrotu ku przedmościom rumuńskim. Gen. C. Miot-Fijałkowski meldował wieczorem: „Położenie jest bardzo ciężkie. Oddziały początkowo tak niepowodliwie, wskutek bezładu tyłów i nie męstwa morderców z powodu zapchanych dróg, nie udało się uciec. Wobec tego, w celu uniknięcia utraty ducha i mają skłonność do napaści. Ustawienie tyłów i ciągła styczność z wrogiem pancerne powoduje, że nie doznają one czasu tygodnia ani chwili prawdziwego spokoju. W powyższych warunkach nie mogę przewidzieć, jaka część armii „Łódź” dojdzie do Włocławka i zdoła się przeprowadzić” (to prawda, że prawda jest również, że generalnie często nieumiejętności żołnierzy, tłumaczą własne błędy). Na południu związki armii „Kraaków” i „Prusy” wymykały się z zagrożonych okolic, nad Tarnów.

„Działania Białostocki” podał tego dnia odezwy prezydenta miasta, Seweryna Nowakow-

8 WRZESNIA – PIĄTEK

To był dzień wielu ważkich decyzji i zdarzeń. Rozstrzygnięto się losy stolicy. Na czele nowej armii „Warszawa” stanął wymieniany już gen. J. Rómmel. Otrzymał on list od Smigłego-Rydzia: „Bij na ogromną przewagę, przede wszystkim techniczną. Jednak bądź się musimy, aby jak najdłużej, przeciwnie. Innej rady nie ma. Wojna w końcu będzie się decydować na zachodnim froncie i ja wstąpię głęboko, że zakończy się zwycięstwem”. O godz. 14–15.00 czołowe elementy 4 dywizji pancernej zajęły Okęcie i Włochy, a ok. godz. 17.00 podesuwały się ku głównym pozycjom polskim na Ochocie i Woli. Szturm nie nastąpił, jednak przez całą noc artyleria wroga prowadziła ogień na miasto.

Pod Nowogrodem, Łomżą i Włocławkiem wzmożony nacisk, wprowadzając do akcji i lotnictwo. Wszędzie jednak udało się – kosztem niekiedy znacznych strat – utrzymać pozycje. Kontratakowała skutecznie nasza piechota (m.in. na wzgórzu 133 w pobliżu szosy Łomża–Nowogród). Zapowiadała się ciężka noc i takż dalsze, świeże dywizje nieprzejścielne (XIX Korpusu) nadciągający pod Włocławek, by po sformowaniu Narwi ruszyć dalej na Brześć Litewski.

Zdarzały się i wieści budzące nadzieję. Naczelne Dowództwo wojsk francuskich zakomunikowało o przekroczeniu granicy zachodniej w pasie 20 km. Czyżby poezja ofensywy sojuszników? Gen. T. Kutrzeba (nie naruszone jeszcze armia „Poznań”) i gen. W. Bortnowski (armia „Pomorze”) ugodnili koncepcję „dużej akcji” zaczepnej znad Bzury (Naszym atutem będzie zaskoczenie. Dobry nastrój wśród żołnierzy, chęć wojny odwetu”). Tak zaczął się drugi tydzień wojny.

9 WRZESNIA – SOBOTA

Od rana niemiecka 4 dywizja pancerna ponawiała natarcie na Woli i Ochotę. Na ul. Grodzkiej działali ppot. rezerwy Józefa Suchockiego (furzunka z Augustowa) zniszczyli pięć wrogich czołgów, na Woli podpalono polskie tereny. W sumie straty niemieckie wynosiły ok. połowy stanu czołgów. Warszawa tym razem się obroniła.

Dysproporcji sił i środków nad Narwią nie mogła zrekomensować bohaterka postawa żołnierzy polskich. W rejonie Włocławka 720 naszym żołnierzom stanęły maszy ludzi (ponad 30 tys. w pierwszym rzucie), czołgów (407) i dział, wsparcia udzielały także lotnictwo. Dowódcą tu: kpt. W. Raginis i por. S. Brykalski (artyleria). Po stronie niemieckiej sam gen. H. Guderian, 9 września, po ośmiu godzinach nawały ogólnowej i falowych ataków piechoty, polskie pozycje zostały przełamane. Schron dowódcy skapitulował dopiero w dniu następnym, a sam Raginis, wierny wcześniej złożonej przysiędze, rozegrał się granatami; został na tawrze na powierzchni sobie odcinku. Obrona odcinka „Włocławek” miała... szersze znaczenie operacyjne polewając opóźnia o 2 doby zamknięcie pierścienia okrzęzenia głównych sił polskich, znajdujących się na wschód od Włocławka (płk dr Zygmunt Kostyła). 9 września trzymały się jeszcze Łomża i Nowogród. Na tyłach SGO „Narew” Niemcy sformowali w kilku miejscach Bug. W tej sytuacji gen. C. Miot-Fijałkowski zarządził odwrót na Białą Podlaską, ale następnie zmienił tę słuszną decyzję, nakazując wykonanie akcji zaczepnej w rejon Ostrołęki-Różana. Tracono tak cenny w tej wojnie czas.

10 WRZESNIA – NIEDZIELA

Zacisnęła się pełna wód samotnie walczących wojsk polskich. Wódz Naczelny Francji – gen. M. Gamelin poinformował obudnie, że Niemcy stawili jego wojskom silny opór, ale lotnictwo wiąże przecież duże siły. Luftwaffe („Wyprowadziłem więc moją obietnicę rozpoznania ofensywy gros moich sił 15 dnia mobilizacji francuskiej. Nie mogłem uczynić więcej”). Anglij, w obawie przed atakami odwołowymi, zrzucali na miasta niemieckie... umoralniające ulotki. Hitler nalegał na rząd ZSRR o przyspieszenie wprowadzenia wojsk na terytorium Polski.

Marszałek Smigły-Rydz podjął próbę upórządkowania sił. Miano utworzyć trzy fronty: północny (gen. Dab-Biernacki), środkowy (gen. T. Piskor) i południowy (gen. K. Sosnkowski), wyłaczając zeń armie „Warszawa” i „Poznań”. Słuszny zamysł nie mógł być w praktyce zrealizowany. Właśnie 10 września Niemcy sformowali San (kierunk na Łwów), a na północny ich kolumny forsowały Narew i Bug. Brakowało sił i środków dla powstrzymania wojsk szybkich wroga, można było je tylko wymijać, a w ostateczności próbować przełamać szczyty, by wyjść z okrzęzenia.

Padły ostatnie schrony pod Włocławek. „Polskimi Termopilami”. Cały dzień trwały krwawe walki pod Nowogrodem. Spłonęło miasto, zgineży zalogi kilku schronów, poległ por. J. Jarczyński i kpt. Kordjaczynski, a batalion mjr J. Sikory (III z 33 pp) stracił 60 proc. stanu osobowego. Dopiero odeszły w rejon Czerwonego Boru. Na stanowiskach i to mimo ciągłego ostrzału, naloża bombowego oraz ponawianych natarć piechoty, pozostała obsada odcinka „Łomża”.

Dywyzje armii „Poznań” przeszły do pościgu, ale nie udało się dokonać przełamania frontu. Ten zwrot zaczęły poprawiać położenie tak samej Warszawy, jak i przemieszczających się ku niej jednostek ze składu armii „Łódź”.

Dzień 10 września kończył względnie spokojny okres wrzysniowych losów Białegostoku. Dotarli tu pierwsi rozbitkowcy znad Narwi. W nocy ewakuowano z białym seminarium naukowy. Ostatnia niedziela w wolnym mieście – czy zdawało sobie z tego sprawę? Dla mieszkańców Bydgoszczy była to za spradla niemieckich sianczy krwawa niedziela (wzrostło ok. 1,5 tys. Polaków).

Podał: ADAM DOBRONSKI

● NASZE INICJATYWY ● NASZE INICJATYWY ●

Tak śmiało mogli pisać tylko ludzie wrażliwi nie tylko na własną krzywdę, ale nieobojętni, nie godzący się na wszelkie zło – taka oto pierwsza, nieodparta refleksja narzucała się nawet przy pobieżnej lekturze pamiętników, jakie napłynęły na ogłoszony jesienią 1976 r. przez „Gazetę Współczesną” ogólnopolski konkurs na zwierzenie-refleksję pn. „KONFLIKT WSPÓŁCZESNY”. Była to pierwsza na taką skalę swoista sonda „Gazety” na temat kondycji moralnej Polaków, ich samopoczucia nie tylko w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, ale w całym powojniu.

Ten pierwszy konkurs spotkał się z szerokim odzewem społecznym. Otrzymał ponad pół tysiąca pamiętników z całego kraju. Jednakże nie tyle ilość pamiętników, ile ich treść – zapisana szczerością, troską o nasze codzienne, szarżujące z roku na rok życie zbiorowe i jednostkowe – świadczyły o narastającej potrzebie dialogu w społeczeństwie. A było wtedy o czym mówić: wszak zło (obłuda, sobiepaństwo, kacykostwo) w naszym polskim życiu widoczne było jak na dłoni. Schorzenia, by nie powiedzieć patologii, nie ominęły prawie żadnej dziedziny społecznej. Nie uszło to uwadze autorów pamiętników. Biali o tych wynaturzeniach, prosto, nie silił się na pseudo literaturę, ale właśnie robili zapisy podrywane życiem i w nim tkwiące, jak rdzeń w drzewie. Tak powiedział o swej pracy i powinności „Gazety” laureat konkursu, Józef Wróblewski z Kamionki Starej, z wykształcenia agronom, ze sposobu życia rolnik, społecznik w tym doborzym sensie, dnia codziennego. Płon tego ogólnopolskiego konkursu ukazał się nakładem „ISKRY” w książce pt. „Konflikt współczesny”.

Tkwieć w życiu, wstuchiwać się w opinie ludzi – tak, to chyba najpiękniejszą powinność dziennikarstwa. Tak odczytujemy intencje czytelników, tak widzimy my, dziennikarze, cel naszej codziennej krzątaniny zawodowej. Z tą myślą, wspólnie z Państwowym Wydawnictwem „ISKRA”, ogłosiliśmy w 1979 r. drugi ogólnopolski konkurs na zwierzenie-refleksję pn. „OBŁICZA WSPÓŁCZESNOŚCI”. Otrzymał 577 prac – pamiętników z całego kraju. Nadesłali je reprezentanci wszystkich województw, wszystkich pokoleń i grup społecznych, ukazując wnikliwie i szczerze codzienną polską w latach siedemdziesiątych. Był to zbiorowy głos pełen autentyzmu, troski społecznej, czasem gniewu obywatelskiego. Przykładem takiego rzetelnego głosu, ale wolającego na puszczy, był pamiętnik laureatki, Janiny Łukasz, pracownicy SKR opod Legnicy. Autorka zdemaskowała nie tylko piąństwo, ale horrendalne nadużycia, sobiepaństwo, kilkorość jej nadzrędną władzę. Podobnie postawy wykazały prawie wszyscy pamiętnikarze. I to

świadczyło o wielkim kapitale społecznym rzetelności, odpowiedzialności i uczciwości, jakim dysponuje nasze polskie społeczeństwo.

Kolejny, trzeci konkurs z serii rozmowy szczerze Polaków – ogłosiliśmy w szybkim ubiegłego roku. W odesłaniu do czytelników pn. „WSPÓŁCZESNY PORTRET POLAKÓW” pytaliśmy czytelników m.in. o odpowiedź-refleksję na pytanie: Jakimi jesteśmy, jakimi powinniśmy być, by mądrze i dobrze budować nasz wspólny dom – ojczyznę, a w nim – naszą osobistą i zbiorową przyszłość.

I tym razem nasza propozycja rozmowy odbiła się szerokim, społecznym echem. Otrzymał ponad 300 takich mądrych propozycji, nierzadko gotowych do zastosowania w polityce społeczno-gospodarczej. Niebawem nastąpi rozstrzygnięcie tego konkursu. Dziś publikujemy jedną z nadesłanych prac.

STANISŁAW
POGORZELSKI

Na wiele akcji, kampanii i konkursów prasowych teściu w latach 50-tych i 60-tych wyrażała zapotrzebowanie społeczne i „Gazeta” mogła wydać nie tylko pomoc, ale i przelęg. Przykładem są nie tylko pamiętniki, ale i wszystkie pamiętnikarstwo. I to

„Budujemy przystanki PKS” czy „Wiele zło w starej szacie, ale również... „Technika na planie!”, „Ekonomista w przedsiębiorstwie”. Zbiórany ziom!”.

Z czasem funkcje organizowania podobnych akcji przejmowały odpowiednie resorty władz terenowych czy zainteresowane przedsiębiorstwa, instytucje bądź organizacje. „Gazeta” jednak sekundowała co ważniejszym inicjatywom o charakterze społecznym, użytecznym kampanii, jak np. konkursy miast, gmin i wsi. W dobry humor wprawiali czytelników kurs samochodowy „Budujemy przystanki PKS” czy „Wiele zło w starej szacie, ale również... „Technika na planie!”, „Ekonomista w przedsiębiorstwie”. Zbiórany ziom!”.

Podobnie wiele innych tematów do kampanii publicystycznych z dziedziny ekonomiki czy kultury „Gazeta” niejednokrotnie podtrzymywała z biegiem lat, choć oczywiście, w coraz nowocześniejszym kształcie treści i formy – zgodnie z duchem czasu, ze współczesnością.

Na przykład, w latach 70-tych, w codziennym robocie dziennikarskiej byliśmy szczególnie wyczuleni na upowszechnianie ludzi mogących służyć za wzór postaw współczesnego Polaka. Na tym tle zrodził się konkurs „GB” na wypowiedzi czytelników pod hasłem „Można lepiej” (1974 r.). Upowszechnialiśmy też na łamach całe kolekcje ludzi Dobrej Roboty i ich ambitne przedsięwzięcia, efekty codziennego trudu. Otwieraliśmy cykl publikacji pod wspólnym tytułem: „Start 76”, „Perspektywy, zadania, warunki”, „Rezerwy w zasięgu ręki”, „Gminy gra o jutro” i wiele innych.

Z publikacji tych, jak i z zapisów wielu dyskusji „Przy redakcyjnym stole”, uważamy, że czytelnik wysuwał odpowiedzi, wniosków, z których najbardziej pewnym był zapewne ten o coraz większym braku pokrycia na piękne i głośnie hasła: „Poproczka wyżej!” czy „Polak potrafi!”.

Pierwszymi publikacjami odkrywającymi fragmenty brutalnej prawdy z życia codziennego Polaków lat 70-tych były drukowane na łamach „GW” fragmenty autentycznych prac z ogólnopolskich konkursów organizowanych przez naszą redakcję, ale o tym – wyżej – napisał mój kolega

AGNIESZKA SWIDZIŃSKA

Bliżej wiedzy, bliżej świata

Podliczenie inicjatyw, o różnej przecież randze i znaczeniu w społecznej rzeczywistości regionu, z jakimi występowała „Gazeta” przez 30 minionych lat – to zajęcie dla kronikarza. Piszący tu o niektórych z nich, pozostawiając pamięć – a miemy nadzieję, że i uznaniu czytelników – przedsięwzięcia w rodzaju akcji „Pasze jak złoto”, „Przygoda z muzą” czy „Moja biblioteka”. O tej ostatniej – o ile dobrze pamiętam honorowanej nawet nagrodami ministerialnymi – słów kilka. Nie dlatego, że stawiam ją wyżej niż na przykład, „Pasze jak złoto”, ale dlatego, że z redakcyjnego przydziału i osobistego wyboru sprawy kultury są mi bliższe niż zagadnienia natury gospodarczej.

Pamiętam jeszcze ten czas w Białymstoku, kiedy łowcy książek z innych miast w Polsce przyjeżdżali do nas, aby wyszukać na półkach księgarskich pozycje nieosiągalne, gdzie indziej. Była to taka „krytyka

stan, czy zdecydowały o tym inne czynniki. Wiem tylko, że jeszcze nim nadszedł „kryzys papierowy”, nim rynek czytelnicy stał się bez reszty rynkiem producenta – upadł mit o Białymstoku – miejsce zasobnym w poszukiwaną literaturę. Jeżeli przyczyną była do tego akcja „pod hasłem „Moja biblioteka” to dobrze. Działaj pamięć! o tym, że polki księgarskie mogą nam coraz mniej zaowocować – wspólnie z Miejskim Domem Kultury prowadzimy inną akcję przybliżającą poszukiwaczom książek szczególnie im potrzebne. Są to „Głody bibliofilskie”, odbyły się już trzy, a czwartą zapowiadamy w najbliższym właśnie numerze.

Zdarzyło się jednak i tak, że w bardzo poszukiwanym obszarze literatury Białostok był niemiernie uprzywilejowanym. Chodzi tu o literaturę z serii „Biblioteka Myśli Współczesnej”, jaka od szeregu lat firmuje Państwowy Instytut Wydawniczy. W „Bibliotece” tej ukazują się najciekawsze,

najcenniejsze, najbardziej intrygujące utwory współczesnej esejistyki i to esejistki ważnej w skali światowej. Nie jest to pewnie najważniejsza miara wartości książek, jakie ukazują się z tej serii, ale warto przypomnieć, że jeszcze w czasach, gdy obowiązywały „normalne” ceny na książki – Ancezy książek z „BMW” osiągały na „bazrach” wymiary wprost astronomiczne. Wymyślono więc w Białymstoku, że skoro zainteresowanie jest tak wielkie – warto mieć taką bibliotekę w nieograniczonym w gruncie rzeczy nakładzie. W ten sposób zrodził się pomysł zorganizowania Wschodniej Myśli Współczesnej, którą organizatorsko ubezpieczał Zarząd Województwa Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, a trochę koncepcyjnie i w pełni propagandowo właśnie nasza redakcja.

Dzięki temu pomysłowi raz w miesiącu – przez ostatnie trzy lata – mogliśmy gościć w Białymstoku autorów publikujących w „BMW”. Przypom-

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI

Powodowani przekonaniem o potrzebie jak najszybszego poinformowania Szanownych Czytelników – publikujemy poniżej tzw. wyniki surowe ankiety uzyskane z obliczeń statystycznych, pozostawiając stawianie wniosków zainteresowanym. Dalsze, bardziej pogłębione informacje zostaną opublikowane po opracowaniu cennego materiału. Początkowe pytania dotyczyły opinii społeczeństwa w zakresie stopnia istniejących różnic między miastem a wsią, oczywiście na przykładzie regionu północno-wschodniego. I tak według 33,9 proc. ogółu respondentów istnieją bardzo duże różnice między miastem a wsią, zdaniem 41,4 proc. – duże, 12,0 proc. – średnie, 5,7 proc. – małe, zaś jedynie według 0,7 proc. ogółu – w badanym regionie nie ma różnic między miastem a wsią.

Najczęściej respondentów różniło między miastem a wsią, na niekorzystnie wsi, upatrzyli w sferze warunków pracy (47,3 proc.) oraz w mniejszych na wsi możliwościach posiadania czasu wolnego i odpoczynku (40,4 proc.). Pozostali uważali, iż największe różnice na niekorzystnie wsi występują w różniowych dziedzinach życia. Mianowicie 21,1 proc. różnic między miastem a wsią wiązało z trudnościami w znajdowaniu na wsi żony lub męża, gotowych podjąć pracę w gospodarstwie rolnym; 14,1 proc. – z zaopatrzeniem w artykuły codziennego użytku; 12,9 proc. – z zaopatrzeniem w artykuły przemysłowe; 11,3 proc. – z gorszymi warunkami mieszkaniowymi; 10,9 proc. – z gorszymi możliwościami uczestnictwa w życiu kulturalnym; 7,2 proc. – z mniejszymi możliwościami osiągnięcia awansu we wsi w porównaniu z miastem i inne. Zdecydowana większość respondentów największe różnice między miastem a wsią na niekorzystnie wsi wiązała z gorszymi na wsi warunkami pracy oraz z tymi związanymi możliwościami posiadania czasu wolnego i odpoczynku.

Medzy innymi w związku z tym wiele osób, zarówno w przeszłości jak i obecnie, migrowało ze wsi do miasta. Najczęściej, jako główny powód migracji, wskazywano na

szeregu podstawowych oczekiwań.

Do polepszenia sytuacji ludności wsi w największym stopniu poprzez decyzje polityczne i rządowe (55,3 proc.); wzorowi rolnicy stanowiący przykład do naśladowania (37,5 proc.); robotnicy przemysłowi dostarczający maszyny, narzędzia i pasze (32,5 proc.); oraz ogół mieszkańców wsi poprzez zorganizowaną działalność społeczną (24,3 proc.). W zasadzie nie podzielano poglądu, iż do polepszenia sytuacji na wsi przyczyniają się pracownicy służby rolnej (4,2 proc.) oraz

podarstwa, w którym pracą jest w wysokim stopniu zmechanizowana; 30,6 proc. rolnicy osiągniętego dobre wyniki hodowli i wysoki plon zbóż oraz 20,8 proc. za wzorowego traktuje rolnika opierającego się w gospodarstwie na solidnej, pogłębionej wiedzy fachowej. Większość ankietowanych (57,2 proc.) uważa, że samorząd wsi, wcale nie troszczy się o interesy mieszkańców wsi. Jednakże jedynie 5,0 proc. uważa, że ów samorząd najbardziej hamuje postęp na wsi. Zdaniem 45,1 proc. respondentów najbardziej dokucza wsi, hamuje pod

Na atrakcyjność przyszłości wsi jako miejsca pracy i życia najbardziej wpłynęły (w kolejności według częstotliwości wyborów): ułatwienia techniczne w rolnictwie (38,1 proc.); pomoc państwa dla młodych rolników (31,1 proc.); rozwój nowoczesnego budownictwa mieszkaniowego (30,5 proc.); zagwarantowanie wyższych dochodów (28,9 proc.); podniesienie społecznego znaczenia ludności wsi (28,8 proc.); zapewnienie rolnikom urlopu i wypoczynku (8,5 proc.); szeroki rozwój komunikacji (6,2 proc.) i inne.

Za najwłaściwszy typ gospodarstwa w przyszłości 46,8 proc. respondentów uważa duże (20–30 ha) zmechanizowane gospodarstwa indywidualne; 32,1 proc. – średniej wielkości gospodarstwa indywidualne; 6,9 proc. – zespół rolniczy kilku rolników; 4,4 proc. – PGR oraz 3,5 proc. – nowoczesne spółdzielnie produkcyjne.

Według 80,5 proc. ankietowanych ludzie na wsi wiele myślą i dyskutują na temat przyszłego ustroju rolnego w naszym kraju. Na ogół nie są to wnioski optymistyczne. 38,1 proc. uważa, że w ogóle jest niemożliwe zrównanie warunków i poziomu życia ludności w mieście i na wsi; 21,0 proc. uważa, że będzie to możliwe za 15–24 lata; 18,5 proc. – za okres do 15 lat, zaś według 13,6 proc. – do momentu zrównania warunków i poziomu życia w mieście i na wsi upływie ponad 25 lat.

ANDRZEJ SADOWSKI

„Polska wieś dziś i jutro” — pierwsze wyniki

DZIĘKUJEMY

Z przyjemnością informujemy Czytelników, że dzięki miłej współpracy z Zakładem Elektronicznej Publikacji Obliczeniowej w Białymstoku otrzymaliśmy publikowane wyżej wyniki ankiety „Polska wieś dziś i jutro”. Pracę tę wykonano społecznie, za co jesteśmy bardzo wdzięczni autonomicznemu NSZZ Pracowników Informatyki w białostockim ZOJ. Obliczeń dokonał Anatol Stefanuk i Anna Wojciechowska, poświęcające wiele czasu i zrozumienia dla wartości społecznej wyników naszej ankiety. Dziękujemy.

Redakcja

— Zastaje Pana w znakomitej formie. Czy wrócił już do domu?

— Dziękuję. Zakopane służy mi do-
głęboko i to zarówno pod względem wy-
poczynku jak też kontaktów z ludźmi.
Muszę jednak przyznać, że każdy przy-
jazd do tego miejsca ma dla mnie wyso-
ką wartość. Należy bowiem do osób, które
chcą mieć dużo obowiązków, bo wtedy
właśnie są wydajne.

— Jesteśmy właśnie przed nowym se-
zonem. Pracy będzie dużo. Ale przedtem
spróbujmy ocenić ten stary. Czy był
Pan zadowolony np. ze stanu widowni?

— Mówiąc szczerze — nie. Niekorzy-
stna frekwencja, którą ostatnio odno-
towały placówki artystyczne w całym
kraju, ma swoje źródło w sytuacji spo-
łeczno-politycznej. Myślę, że codziennie
troski były dla ludzi przytłaczające, a aktual-
ne wydarzenia — tak przecież ważne
— przyciągały bardziej do telewizorów
niż do sal koncertowych. Według na-
szych statystyk w drugim kwartale br.
miejliśmy w naszej placówce 21,198 słu-
chaczy, czyli tylko około trzecią część
stanu odnotowanego w tym samym o-
kresie lat poprzednich. Muszę nadmienić,
że w tym czasie daliśmy 125 kon-
certów, w tym 12 symfonicznych, 39
kameralnych i recitali, 40 audycji dla
przedszkolaków, 34 — dla uczniów
szkół podstawowych. Jak na trzy mie-
siące jest to więc spora ilość wystę-
pów; przy minimalnej — niestety —
liczbie słuchaczy.

— Czy zna Pan taki utwór muzyczny
lub takiego artystę, który aktualnie
przyciągałby do Filharmonii bardzo
dużą publiczność? Wie Pan co zrobiło
na mnie wrażenie? Prawdziwym utwo-
rem pt. „Lacrimosa” Krzysztofa Pend-
reckiego, specjalnie napisanego na uro-
czystość odsłonięcia pomnika w Gdań-
sku. I te zasłuchane tłumy...

— W Gdańsku to był symbol, a utwór
związany z polskimi wydarzeniami.
Zresztą uroczystość miała szerszy, a nie
tylko artystyczny charakter. Stąd ta
masowość, zainteresowanie i podniosły
charakter.

Natomiast co się tyczy pierwszej czę-
ści pytania, to czyż nazwiska takie jak
Bożena Kinasz-Mikołajczak, Konstanty
Andrzej Kulka, Roman Węgrzyn, Piotr
Palczyński, Tadeusz Gadziński, Regina
Smendzińska, Andrzej Ratusiński,
Krzysztof Jakowicz — nie są dostatecz-
nie przyciągające? Wszyscy ci artyści
byli wszakże naszymi gośćmi.

— Sam Pan jednak powiedział, że
pozostali bez wpływu na stan frekwen-
cji.

— Czasami wprost trudno wytłuma-
czyć dlaczego jedne koncerty są obla-
gane, a inne nie. Problem jest znacznie
szerszy. Otóż nie wolno nam — jestem
o tym głęboko przekonany — ciągnąć
ludzi na siłę do odbioru tego rodzaju
sztuki.

— Ma Pan na myśli bilety rozprosze-
dane w zakładach pracy, szkołach?

— Tak. Natomiast słuszniejszą sprą-
wą, o czym przekonałem się w naszej
placówce, jest prowadzenie akcji umu-
zykalizacji począwszy już od przed-
szkółki, i dalej poprzez uczniów szkół
podstawowych i średnich. Jeżeli będzie-
my to robić starannie, stosując właści-
we metody i sprawdzonych fachowców,
wówczas o rezultaty nie powinniśmy się
martwić. Zresztą mamy pierwsze efek-
ty — właśnie z przedszkolakami.

— To w Białymstoku. A czego spo-
dziewać się mają mieszkańcy tzw. te-
renu?

— Tam, niestety, muszę to wyraźnie
podkreślić, że dobrze się nie dzieje. W
ub. sezonie np. wspólnie z Krajowym
Biurem Koncertowym i Towarzystwem
Muzycznym organizowaliśmy kameral-
ne koncerty w Tykocinie, Modkach,
Bielsku Podlaskim, Sokółce, Dąbrowie
Białostockiej, Hajnówce, Siemiatyczach,

Supraślu i Gródku. Jasne, że zaintere-
sowanie nimi w danym środowisku uzależ-
nione było od miejscowych organiza-
torów życia kulturalnego, ich umiejęt-
ności rozkładania imprezy, ale
także od solistów i programu.

— Jaki więc był ten program i jacy
solisty?

— Dla przykładu: kwartet „Varso-
via” i „Lazienki Królewskie”, kwintet
akordeonowy oraz instrumentów dętych
z Filharmonii w Częstochowie, kwintet
instrumentów dętych z Filhar-
monii w Białymstoku, kwartet śląski
Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Pol-
skiej Rady i Telewizji, zespół muzyki
cerkiewnej. Ponadto solisci m.in. Ur-
szula Trawińska-Moroz, Józef Stempel,
Kazimierz Przytupek, Jerzy Mechliński,
Michał Grabarczyk, Eugeniusz Knapik,
Barbara Górzyska.

Jeśli zaś chodzi o repertuar to był on
właściwy tym zespołom, a obejmował
przebieg niemal całej literatury muzy-

sz. Przy czym nie rezygnowaliśmy jed-
nak z tej formy koncertów, które pro-
wadziliśmy obecnie. Niech nasze dzie-
ci nie mówią, że nie słuchali i nie uczy-
ły się muzyki tylko dlatego, że ich ro-
dzące nie mieli benzyny.

Tymczasem wszystko zmierza do tego,
by sprawy kultury przesunąć na
boczny tor. A szkoda, bo gdy spłacimy
długi i gdy będziemy mieli już co jeść
zapagniemy czegoś więcej. A strat du-
chowych odrobić się nie da.

— Czy może Pan wymienić ubiegło-
sezonowe koncerty, które rzeczywiście
podały się publiczności?

— Proszę bardzo. Zaczęliśmy od wy-
stępów Piotra Palecznika, Ewy Podles,
Konstantego Andrzeja Kulki, po-
tem zespołu Moskiewskiej i Praskiej Or-
kiestry Symfonicznych, chóru „Ars An-
tique”, zespołu muzyki cerkiewnej, chóru
Filharmonii Narodowej pod dyrek-
cją Henryka Wojnarowskiego, wioło-
czelisty Michała Flaksmana.

mu orkiestry. Niektórzy dyrygenci
twierdzą, że orkiestra może wykonać
na muzyce współczesnej. Jestem
przeciwnikiem takiego myślenia. Uwa-
żam, że jeśli orkiestra gra dobrze Ba-
cha, Mozarta to z powodzeniem może
stać się orkiestrą gatunkową muzyki.
Studiowałem kiedyś programy z pa-
ru sezonów najlepszych orkiestr ame-
kańskich. Okazało się, że w jednym se-
zonie grają dużo utworów Gustawa
Mahlera czy Antonia Brucknera, by już
w następnym wrócić do klasyki. Oczy-
wiście, w każdym sezonie jest klasyka,
czyli to co pilnuje poziomu orkiestry
i jej precyzji. Tak jak w balecie: żeby
też uczyć się nowoczesne trzeba znać
klasykę, czy jak w nauce języków ob-
cych: żeby je poznać — trzeba najpierw
złazić łacinę.

Dlatego też od lat w naszych biało-
stockich programach jest pokaźna ilość
muzyki klasycznej i oczywiście baroko-
wej. Uważam, że to jest najlepsza szkoła
dla utrzymania odpowiedniego pozo-
mu orkiestry.

nej, Politechniki i Wydziału Lekar-
skiego planujemy wspólnie przygotowa-
nie utworu Brucknera „Te Deum”. Bę-
dzie to wielkie przedsięwzięcie arty-
styczne na wyżej wymienione chóry,
orkiestrę i solistów, a wykonane w Fil-
harmonii i, prawdopodobnie, w kos-
ciele Farnym.

W porozumieniu z dyrygentami na-
szych chórów chciałbym również przy-
gotować koncert tych zespołów a ca-
pella. Myślę, że byłaby to impreza da-
jąca zarówno satysfakcję artystyczną,
jak i stymulującą działalność poszcze-
gólnych grup śpiewaków.

Sadzę, że te oratoryjno-instrumental-
ne formy powinny chwycić.

— Czy Filharmonia nie zapomni o
białostockich solistach?

— Oczywiście, będą tak jak poprzed-
nio kultywowani. Jest to przecież jedna
z form utrzymania się wysokiego po-
ziomu artystów.

ciągłych kłopotów, trosk i problemów
organizacyjnych. Chciałbym być dobrze
rozumiany. Nie myślę o efektach ar-
tystycznych, lecz tylko o trudnościach
działalności menedżerskiej. Proszę so-
bie wyobrazić przygotowanie ostatnio-
go festiwalu — 8-dniowego maratonu
z 24 imprezami nie mówiąc już o wy-
konawcach itd. itp.

Chciałbym w tym miejscu nawrócić
do ówczesnej krytyki, która na pewno
nie była pomocna, a wręcz obraźliwa.
Prasa pogardzała zarówno organizato-
rami jak i naszymi współpracownikami,
co nam naturalnie podcięło skrzydła.
„Białto się” w sposób okropny im-
prezę, która przysporzyła przecież Biał-
ostokowi wiele sławy i uznania.
Był zresztą w naszym mieście taki zły
okres — nie ukrywajmy tego — że
wszystko co się tu robiło spotykało się
z totalną krytyką. Cała kultura przy-
chodziła z „zewnątrz” i to było najlep-
sze.

Czas jednak jest najlepszym spraw-
dzianem. Wiemy wszakże co pozostało
do tegoż czasu w ogóle do dziś. Należę
do tych ludzi, którzy nie ulegają. Wy-
tyczyłem sobie plan i nie złożyłem z
drogi, mimo negacji przez wiele lat
przez miejscową krytykę.

— Czy dotyczy to tylko krytyki czy
też ogólnego klimatu dla działalności
artystycznej?

— Przede wszystkim krytyki. Lubie
rady, które w praktyce miałyby zasto-
sowanie, ale nauki, których nam do-
tychczas udzielano nie miały nie wprost
zawsze ze zdrowym rozsądkiem. Nad-
mienię, że proponowano nam — kiedyś
bysmy, tzn. naszą orkiestrę, wykony-
wali tylko utwory Hindemitha, Honaga-
era, Bartoka i Strawińskiego. Gdy-
byśmy to z kolei proponowali publicz-
ności, to już dawno nie mielibyśmy jej
na naszej sali.

— Ale jednak publiczność jest, o
czym świadczy np. zainteresowanie
Białostockimi Spotkaniami Muzycznymi.

— Po dwuletniej przerwie od ostat-
niego festiwalu postanowiliśmy dać
publiczności coś w zastępstwie. Zoriento-
waliśmy się bowiem, że społeczeństwo
przystępowało już do tego typu im-
prez (frekwencja na Festiwalu Muzyki
i Poezji była najlepsza, wykładnia
zainteresowania). Zrodziły się więc
Białostockie Spotkania Muzyczne. Od-
były się już trzy tego typu imprezy, w
tym roku czekamy na czwartą.

— Czy istnieje jej zarys programo-
wy?

— Tak, ale o szczegółach wolabym
rozmawiać w późniejszym terminie.

— Przy różnych okazjach słyszy się
o tworzeniu w naszym mieście teatru
muzycznego.

— Odkąd przyjechałem do Białego-
stoku postuluję stworzenie takiej sceny.
Zdaje sobie sprawę, że w tej kwestii
będę miał przeciwników. Ale uważam,
że szukanie nowych form jest kon-
ieczne. Czy nam się podoba czy nie,
wczesniej czy później teatr muzyczny
w Białymstoku powstanie. Przecież nie
chodzi o jakiś nowy inwestycja, ale o
przedstawienia robione wspólnym
wysiłkiem białostockich artystów różnych
branż.

— Wkraczamy w nowy sezon, który
jest zarazem 30-letnim Panu pracą ar-
tystyczną. Serdeczne gratulacje! Jak
czuć jubileusz w tak trudnych cza-
sach?

— Oczywiście jak najsłabiej! O-
czywiście praca artystyczna. Chciałbym
aby ten sezon był atrakcyjny dla na-
szej wierniej publiczności. Chciałbym
również, aby program nasz mógł być
realizowany bez zakłóceń. Słowem,
żeby był spokojny.

Rozmawiała:
LUDMILA CHALECKA-POŁOCKA

RECENZJA

Białostok ma ostatnio szczęście do zesp-
łów rockowych z kręgu tzw. młodej gene-
racji, z tym, że nie zawsze to szczęście
można kojarzyć z satysfakcją publiczności.
Przed kilkoma dniami w amfiteatrze miej-
skim oraz w Klubie Rozrywki wystąpiła
kolejna grupa uprawiająca ten gatunek
muzyczny — „Stalowy Bagaż”. Młodzi wiel-
biciele rocka znają tę formację z dwóch
powodów: po pierwsze — połowa jej to
byli członkowie zespołu „Porter Band”, po
drugie — „Bagaż” towarzyszy ostatnio Iz-
abeli Trojanowskiej, o czym mogliśmy się
przekonać w czasie ostatniego festiwalu w
Opolu. Do muzyki „Porter Band” miałem
zawsze sporo zastrzeżeń, chociaż ich płyta
„Helicopters”, należy do najbardziej uda-
nych krążków rockowych w historii naszej

wiem grępsów granych przez dwóch gita-
rystów w tych samych pozycjach, do am-
bitnej muzyki zaliczyć nie sposób. Instru-
mentalni owo próbować epatować sprzę-
żeniami, długimi dźwiękami i pozorna
błyskotliwość techniczna zapominając, że
oczekiwane efekty można osiągnąć tylko na
doskonalej aparaturze nagłaśniającej i to
najczęściej w studiu nagraniowym. Kilka
starszych tematów gitarowych mogłoby się
spodobać, gdyby nie zarznięto ich bezsen-
sownymi improwizacjami. Dodajmy jeszcze,
że przez cały czas te gitary były wyzwyca-
nie rozstrojone. Nie przypuszczam, by była to
wina instrumentów.

Kompozycje własne „Stalowego Bagażu”,
opatrzone tak bezsensownymi i grafomań-
skimi tekstami, że nawet młodociana pub-
liczność wybuchła czasem śmiechem, to
schematyczne rocki facylne w dodatku
śpiewane przez naczelnego wokalistę Ka-

Jubileuszowe refleksje

Architektoniczne

kontrasty i zabytki

Tak się złożyło, że w roku jubileuszu trzydziestolecia „Gazety Współczesnej” mija
dokładnie 20 lat, gdy na łamach tej „Gazety” zamieściłem pierwszy rysunek, który
stał się — wbrew moim oczekiwaniom — początkiem swobodnego, bo rysowanego jesz-
cze dotychczas, reportażu o architekturze Białostoku oraz miast i miasteczek re-
gionu północno-wschodniego Polski.

A później, obok rejestrowanych piórkami zanikających architektonicznych kon-
trastów i pejzaży, zajęłem się popularyzacją i ochroną zabytków tego regionu.

Jedną z zadań działalności „Gazety Współczesnej” jest właśnie ta, która ma być
dokładnej czułości czułości, która
jednocześnie dzieliłaby o-
taczającą nas przestrzeń zabyt-
kową i niezabytkową.

W rejestrach zabytków nie
zapisano jeszcze relikwów
już obecnie obiektów miej-
skiego budownictwa drewnia-
nego z początku naszego stu-
lęcia. A jeszcze przecież tak
niedawno ono właśnie stano-
wiło o krajobrazie naszych
miast, który zmienia się usta-
wicznie. Gdyby jednak zmie-
niał się na korzyść i nie był
brutalnie dewastowany, było-
by uwalniał. Życie wskazuje,
że jest inaczej. Boję się wręcz,
że skoro nie udaje się urat-
ować tylu najcenniejszych za-
bytków, to za momenty nie je-
szcze i tymi „drewniakami”
stosunkowo licznymi, choć nie
mieszczącymi się w ustaty-
kowane zabytki — jest
chyba zajęciem daremnym. A-
le jakby nie było, są to prze-
cież relikty kultury material-
nej robotniczego. Relikty co
prawda niechlubne, lecz co
wszystkie z nich zasługują so-
bie na jeden tylko wyrok:
zburzyć.

Domy te są często dok-
umentem rodzimych tradycji
budowania. Nie projektował
ich żaden architekt. Ze współ-

pracy cięśli ze szlachetnych
brzości rozmaitych form, te
swoistej architektury, dosto-
sowane do potrzeb zamieszku-
jacej w niej robotniczej,
często ułopotkowanej ro-
dzin.

Ta architektura pietrzących
się przybudówek i urokliwych
zakamarków, o bogatej cie-
siołce i spajynowanej fakturze
drewna zaciekała, czasem
bawi, a chyba — mogłaby też
uczyć.

W permanentnej dyskusji o
regionalizmie w naszej archi-
tekturze ci, którzy we współ-
czesnym budownictwie tego
się domagają — mogliby u-
żyć argumentów stąd wzię-
tych. Przede wszystkim —
kimś obiekty te świadczą, że w
budownictwie mieszkaniowym
drewno dalece jest nam bli-
sze od najbardziej wymyślnej
ozdobionej mury.

Zastosowanie drewna, jako
podstawowego budulca, ma do-
minujące znaczenie w tworze-
niu wyjątkowości architektury
robotniczego domostwa. Jakże
inaczej przeżywa się tu dzie-
ciństwo, młodość i starość. A
jakże smutne są zabawy dzie-
ciarni na placach między
współczesnymi blokami. Trud-
no jest architektom o stwo-
rzenie podobnego nastroju we
współczesnych rozwiązaniach,

skich bloków mieszkalnych po-
podaje konieczność tworzenia
takiej architektury, która — w
podobny sposób jak te stare,
drewniane domostwa — za-
spokajała tęsknoty ludzi do
spokoju, uciepiania w pejzaż i
tworzyła elementy przy-
wiązania do swoich domów.

Czy te stare domy warto o-
calić? Oczywiście, choć nie
chodzi tu o skłone napre-
dce komórk i budki, nad któ-
rymi nie ma potrzeby się li-
tować. Takie same od wieków
zmieniają się jak
drzewa w biologicznie ustat-
kowanym rytmie. Są wśród nich
jednak domy o autentycznych
wartościach zabytkowych, któ-
rymi trzeba się zająć, tym bar-
ziej, że niezmierzony szybko
znikają, chyląc się ku upad-
kowi, nie tyle ze starości, co
z zaniedbania.

Wydaje się, że zebranie do-
kumentacji fotograficznej o
tym budownictwie i przekaza-

nie jej przyszłości jest obo-
wiązkami naszego pokolenia
architektów, grafików i malar-
zy.

Rysowałem więc te walące
się domy, które przetrwały
niejednokrotnie wojny świato-
we. Były one też świadkami
bezprzykładnych zmagań na-
rodu, który w większej ma-
sie nie znalazł łazienek i
splukanych ustępów. Przez
20 lat rysowałem stare obiek-
ty, które niemal każdego dnia
zostały składowane przez współ-
czesność na ołtarzu rozciągają-
cej się techniki i pogoni za
większym komfortem byto-
wania.

Być może moje rysunki
przypadają się kiedyś tym,
którzy będą tak jak my po-
szukiwać niołych bodaj śla-
dów dnia wczorajszego, który
dla nas nie miał przyjemnego
smaku i wielkiej wartości.

HENRYK WILK

Co za bagaż?

fonografii, ale też główną tego zasługę na-
leży przypisać brytyjskiemu kompozytorowi
i wokaliście Johnowi Porterowi. Obecny
zespół „Stalowy Bagaż” — jako akompaniator
zespół „Stalowy Bagaż” — jako akompaniator
zespół „Stalowy Bagaż” — jako akompaniator

zimy Cwynara. (A propos — nie ma tu
żadnego związku rodzinnego z ostawia-
jącą postać naszego show-businessu, chociaż
istnieje związek estetyczny). Nieco lepiej
„Bagaż” wypadł w kopach zagranicznych
utworów, pojawił się nawet — na krótki
czas — tak potrzebny nerw, że to angiel-
szczyzna Cwynara autentycznie wolała o
zmilczenie.

W sumie „Stalowy Bagaż” okazał się
więcej zespołem amatorskim, chociaż działa
oficjalnie jako profesjonalny. I tu właśnie
tkwi bezsens organizacji naszego świata
estradowego. Ten status daje się chyba po-
znajomości, bowiem żadna komisja weryfi-
kacyjna nie dałaby koszmarnie grupie pra-
cy z występowania przed publicznością za
zawodowe stawki. Obecność (chwilowa?)
Izabeli Trojanowskiej u boku kwartetu to
chyba jeszcze zbyt mało, żeby decydować
się na robienie tras, zwłaszcza bez wokali-
stki-magnesu.

Pierwszy raz, kiedy zapowiadano „Stalo-
wy Bagaż” właśnie w Opolu, widząc twa-
rę muzyków z „Porter Band” miałem na-
dzieje, że bagaż doświadczeń każe im grać
przynajmniej poprawną muzykę. W Biał-
ymstoku raz jeszcze zastanawiałem się, ja-
ki to bagaż?

J. GRÜN

W permanentnej dyskusji o
regionalizmie w naszej archi-
tekturze ci, którzy we współ-
czesnym budownictwie tego
się domagają — mogliby u-
żyć argumentów stąd wzię-
tych. Przede wszystkim —
kimś obiekty te świadczą, że w
budownictwie mieszkaniowym
drewno dalece jest nam bli-
sze od najbardziej wymyślnej
ozdobionej mury.

Zastosowanie drewna, jako
podstawowego budulca, ma do-
minujące znaczenie w tworze-
niu wyjątkowości architektury
robotniczego domostwa. Jakże
inaczej przeżywa się tu dzie-
ciństwo, młodość i starość. A
jakże smutne są zabawy dzie-
ciarni na placach między
współczesnymi blokami. Trud-
no jest architektom o stwo-
rzenie podobnego nastroju we
współczesnych rozwiązaniach,



„Gazeta” w trzydziestolecu

sierpień 1951 — Prace nad organizowaniem redakcji „Gazety Białostockiej”. Redagowanie próbnych numerów „GW” pod kierownictwem Mieczysława Rakowskiego i Kazimierza Masiewickiego. Funkcję pierwszego redaktora naczelnego objął STEFAN PAWLATA.

1-2.IX.1951 — Ukazuje się pierwszy numer „Gazety Białostockiej”, sobotnio-niedzielną, 6-stronicową, o nakładzie 30 tys. egzemplarzy.

19.IX.1951 — Pierwsza masowa impreza „GB” pod hasłem „Gazeta — swoim Czytelnikom”, festyn rozrywki dla zalogów kilku fabryk.

1.VII.1952 — Odtąd ukazują się dwa wydania „GB” z odrębnymi kolumnami — „miejską” i „wojewódzką”.

11-12.IV.1953 — Imprezy dla Czytelników z okazji 500 numeru „Gazety”.

jesień 1954 — Redakcja wydaje serię kilkunastu jednolitych, tzw. gazet gminnych i powiatowych, poświęconych propagandzie sprawnego przebiegu obowiązków dostaw zboża dla państwa.

14.IV.1954 — Stanowisko redaktora naczelnego „GB” obejmuje STANISŁAW KOSICKI.

20-21.XI.1954 — 1000-ny numer „GB”.

10.V.1956 — Powrót do redagowania tygodniowego dodatku dla młodzieży pt. „Gazeta Młodych” (na przełomie lat 1954/55 wydawano kolumnę pt. „Młodością silni”).

1.IX.1956 — Pierwszy jubileusz — V-lecie „GB”.

22-23.IX.1956 — Nawiązanie współpracy z redakcją „Grodzińskiej Prawdy” — wymiana publikacji. Pierwsze materiały z Grodna na łamach „GB”.

1.X.1956 — Funkcję redaktora naczelnego obejmuje KAZIMIERZ NOWAK.

10.VI.1957 — Nowa winieta „GB” (opr. graf. wg projektu Jerzego Lengiewicza), zachowana przez kolejne 14 lat, tj. do zmiany formatu w 1971 r.

1.I.1958 — Przeprowadzka redakcji do nowego, wzniesionego budynku przy ul. Wesołowskiego 1 (z tamtego, przy ul. Kilińskiego 15).

15-16.II.1958 — 2000-ny numer „GB” w nakładzie 55.280 egzemplarzy.

1960 — Dział korespondentów „GB” swany po kilku latach działem listów i interwencji, zostaje przeorganizowany na dział Łączności z Czytelnikami.

1.IX.1961 — X-lecie „Gazety”.

24.XII.1962 — Wprowadzenie rubryki „Program TV”, w związku z uruchomieniem stacji przekątnikowej w Kuźnicach k/Białegostoku.

1963 — Obchody Roku Ziemi Białostockiej — liczne akcje organizatorskie „Gazety” powodują 3-krotny wzrost nakładu i wypracowanie pierwszego miliona zysku w wydawnictwie.

1964 — Rok obchodów XX-lecia PRL — „GB” popularyzuje osiągnięcia kraju i regionu.

1965-1967 — „Gazeta” wydaje tygodniowy dodatek pt. „Rolnik Białostocki” (w numerach piątkowych).

15.VIII.1966 — Odznaczenie redakcji „GB” Zespołową Odznaką Honorową Tysiąclecia Państwa Polskiego.

1.IX.1966 — XV-lecie „Gazety Białostockiej”.

1.I.1967 — Rozpoczęcie trzeciego wydania terenowego „Gazety” (dwa wojewódzkie i jedno miejskie).

8.XI.1967 — Uruchomienie w redakcji pierwszej aparatury „tele-foto”.

30.IX.1969 — Rozbudowa wydań terenowych do czterech — każde dla kilku powiatów.

22.VII.1971 — Nowy format „GB” w związku z uruchomieniem nowo zbudowanych Białostockich Zakładów Graficznych przy Al. 1000-lecia Państwa Polskiego.

1.IX.1971 — XX-lecie „Gazety Białostockiej”.

18.IX.1971 — Przyznanie zespołowi „GB” Odznaki Honorowej „Zasłużony Białostoczanie”.

1.VII.1972 — Funkcję redaktora naczelnego „GB” obejmuje MAREK JURKOWICZ.

1.IV.1973 — Nowa formuła wydawnicza „GB” — powrót do dwóch wydań terenowych: „A” — miejskiego i „AB” — wojewódzkiego. Nowa winieta „Gazety” wg projektu Henryka Wilka.

16-17.V.1973 — Pierwsza impreza pn. „Święto Gazety Białostockiej”.

marzec 1974 — Minister Oświaty i Wychowania przyznaje zespołowi „GB” Medal Komisji Edukacji Narodowej upamiętniający 200-tą rocznicę powstania tej Komisji.

czerwiec 1974 — Ustanowienie dorocznych nagród „Gazety” dla wyróżniających się ludzi województwa. Wśród pięciu pierwszych laureatów znaleźli się m.in. dr med. Tadeusz Szlachowski oraz małżeństwo archeologów — D. J. Jaskanisowie.

ciąg dalszy na str. 7

GAZETA
BIAŁOSTOCKA

Lud polski
sercem i pracą

popiera nowe kierownictwo
i nowy program naszej partii

Tysiące dodatkowych ton węgla i stali, wzmożone dostawy zboża

Październik 56. Czas nagli — pisze „GB” w sprawozdaniu z wielkiego wiecu w stolicy — Partia musi przystąpić do rozwiązywania codziennych, trudnych spraw naszej gospodarki i życia państwowego.

Jesienią pięćdziesiątego czwartego zastanawiałem się przed obliczem szanownej komisji, która kwalifikowała nas, absolwentów krakowskiej dziennikarskiej, do pracy. Główny jak zawsze red. Arnold Mostowicki, naczelnik redakcji „Gazety Krakowskiej” a zarazem kierownik Sekcji Dziennikarskiej UJ, zmierzając mnie surowym wzrokiem i następnie tonem nie podlegającym dyskusji oznajmił:

— Do Białegostoku? To niemożliwe...
— Niemożliwe? Może głownie odczytać waszą opinię? Proszę bardzo! Oto ona. Czarno na białym w niej napisane coście nabroili.
— Wolej jej nie czytać. Biorę Białystok.
— Tylko bez łaski, tylko bez łaski! — skarżył mnie red. Mostowicki, wręczając nakaz pracy do „Gazety Białostockiej”.

Jadąc do Białegostoku nie wiedziałem, że przyjdzie mi tu zakotwiczyć się na stałe. I przeżyć z moimi kolegami chwile dobre i złe.

Moje wspomnienia wyróżniono w konkursie trzecią nagrodą. Cieszyłem się z tego. „Prasa Polska” opublikowała na swych łamach wszystkie nagrodzone wspomnienia, z wyjątkiem tylko moich. Owszem, proponowano mi spotkanie się i wybór niektórych fragmentów, ale jakoś nie miałem na to ochoty. Spreparowane w ten sposób wspomnienia straciłyby swój sens. Później dowiedziałem się, że jury konkursu, składające się z o ile mnie pamięć nie myli — wyłącznie z naczelników redakcji, w ogóle się zastanawiało czy moje wspomnienia nagrodzić. Rzekomo postępowaniem w nich nie było. W końcu stanęło na tym, żeby je nagrodzić, ale nie drukować. Pamiętnika jednak nie wrzuciłem do kosza. Włożyłem go do szuflady i cierpliwie czekałem na następny przełom. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że musi on nastąpić. I to przedkładałem. Nie myliłem się. Już po dwóch latach nadziesiąt Czerwiec 76. Strajki i protesty robotnicze ogarnęły również i Białostocznę. Szybko i sprawnie je spacyfikowano. U nas także. Znowu wszystko miało powrócić do normy. Uznałem, że nie jest to stosowna pora na druk wspomnień o Październiku 56.

Dopiero po Sierpniu 80 wyjąłem je z szuflady i zaproponowałem druk w „GW”. Naczelnik redakcji jakoś dość długo i teraz nie mogę podjąć decyzji. Któregoś dnia wezwiał mnie do siebie.

— Czytałem. To ciekawe i dobrze napisane. Ale niech mi pan doradzi, co mam z tymi wspomnieniami robić?

— Drukować.

— Dobrze panu mówię.

— Dla mnie, autora, jest to jedyna okazja. Jeśli bowiem władza okrzepnie i ustabilizuje się, wszystko znowu wróci do normy, to tych wspomnień nigdy może już nie opublikuje.

Chyba tylko z litości i współczucia dla mnie naczelnik zdecydował się w końcu na druk „Października 56” w „Gazecie Współczesnej”. Jestem mu za to niezmiennie wdzięczny. Ku mojemu nieukierunkowanemu zdumieniu wspomnienia spotkały z niezwykłym żywym odzewem czytelników. To znaczy, że wszystkie przełomy i kryzysy pozostały w naszej społecznej świadomości jakiegoś trwałego śladu. Inaczej zresztą być nie mogło.

Czy zawsze my, dziennikarze, wychodziliśmy z przełomów z podniesioną głową? Z Października 56 z całą pewnością tak. W to jestem głęboko przekonany. Powiem więcej: w przyszłości, przebiegu Października 56 polska prasa i polskie dziennikarstwo mają swój niezaprzeczalny i chlubny udział. Dotyczy to również szczerze, ale bardzo aktywnego białostockiego środowiska dziennikarskiego, które mój prym nadawali dziennikarze „Gazety Białostockiej”, poprzedniczki „Gazety Współczesnej”.

Niestety ale nie można tego powiedzieć o Marcu 68 i Czerwcu 76. Te pamiętne wydarzenia zupełnie nas zdezorientowały. Jak wiadomo, w sześćdziesiątym osmym rozpoczęto na ogół w wielu wybitnych intelektualistów, obwiniając ich o rewizjonizm i syjonizm, deprowanie i podburzanie młodzieży studenckiej.

W tę niechlubną i do dziś w pełni nie wyjaśnioną kampanię antyinteligentną nieopacznie wdała się i nasza gazeta. Na jej łamach ukazało się wiele publikacji wymierzonych przeciwko wybitnemu historykowi i pisarzowi — Pawłowi Jasienicy. Chodziło o jego udział w powojennym zbrojnym podziemiu na terenach Białostocznym.

Później czas pokazał, że to wszystko obróciło się przeciwko nam, białostockim dziennikarzom. Myślę o nagłonce przeciwko i pisarzom, w tym przede wszystkim Edkowi Redzińskiemu i Włodkowi Pawluczukowi. Przybrała ona monstrualne rozmiary po opublikowaniu w „Kulturze” przez Redzińskiego reportażu „Jakiś”.

I tu ciekawostka. Reportaż był anonimowy. Rozpoznali się w nim notabie z kilku województw. Ale tylko naszych poniosły nerwy. Utożsamili się z bohaterami reportażu i złożyli gdzieś trzeba stosowny protest. „Kultura”, mimo sprzeciwu kilku wybitnych pisarzy, zerwała współpracę z Redzińskim. Podobnie również postąpiło kierownictwo mojej redakcji. Próbowano także wiać odwet zbiorowy na kilku kolegach Redzińskiego. Byłem jednym z tych, który na zebraniu SDP odważył się przeciwko tym represjom zaprotestować.

Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych białostocki dziennikarstwo poczuło się zastraszony i pogubiony. Sądzę, że było w tym dużo i naszej winy. Nie stworzyliśmy bowiem zwartego i solidarnego środowiska. Nie dziwnego, że wielu z nas czuło się jakoś nieswojo i samotnie. Takie środowisko łatwo można atakować, tłamsić i skłaniać do postulatów.

Wytworzył się pewien typ „swojaka”, z którym później namiętnie walczyli Klemens Krzyżogórski, twórca nowego oblicza „Kontrastów”, „Swojak” mógł być nieudacznikiem, oportunistą, miernotą dziennikarską. Cieszył się jednak zaufaniem swych dysponentów, mógł liczyć zawsze na ich poparcie i wsparcie. Zrodził się mit: co swoje to dobre, co obce to złe.

NASZE

mo, w sześćdziesiątym osmym rozpoczęto na ogół w wielu wybitnych intelektualistów, obwiniając ich o rewizjonizm i syjonizm, deprowanie i podburzanie młodzieży studenckiej.

W tę niechlubną i do dziś w pełni nie wyjaśnioną kampanię antyinteligentną nieopacznie wdała się i nasza gazeta. Na jej łamach ukazało się wiele publikacji wymierzonych przeciwko wybitnemu historykowi i pisarzowi — Pawłowi Jasienicy. Chodziło o jego udział w powojennym zbrojnym podziemiu na terenach Białostocznym.

Później czas pokazał, że to wszystko obróciło się przeciwko nam, białostockim dziennikarzom. Myślę o nagłonce przeciwko i pisarzom, w tym przede wszystkim Edkowi Redzińskiemu i Włodkowi Pawluczukowi. Przybrała ona monstrualne rozmiary po opublikowaniu w „Kulturze” przez Redzińskiego reportażu „Jakiś”.

I tu ciekawostka. Reportaż był anonimowy. Rozpoznali się w nim notabie z kilku województw. Ale tylko naszych poniosły nerwy. Utożsamili się z bohaterami reportażu i złożyli gdzieś trzeba stosowny protest. „Kultura”, mimo sprzeciwu kilku wybitnych pisarzy, zerwała współpracę z Redzińskim. Podobnie również postąpiło kierownictwo mojej redakcji. Próbowano także wiać odwet zbiorowy na kilku kolegach Redzińskiego. Byłem jednym z tych, który na zebraniu SDP odważył się przeciwko tym represjom zaprotestować.

Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych białostocki dziennikarstwo poczuło się zastraszony i pogubiony. Sądzę, że było w tym dużo i naszej winy. Nie stworzyliśmy bowiem zwartego i solidarnego środowiska. Nie dziwnego, że wielu z nas czuło się jakoś nieswojo i samotnie. Takie środowisko łatwo można atakować, tłamsić i skłaniać do postulatów.

Wytworzył się pewien typ „swojaka”, z którym później namiętnie walczyli Klemens Krzyżogórski, twórca nowego oblicza „Kontrastów”, „Swojak” mógł być nieudacznikiem, oportunistą, miernotą dziennikarską. Cieszył się jednak zaufaniem swych dysponentów, mógł liczyć zawsze na ich poparcie i wsparcie. Zrodził się mit: co swoje to dobre, co obce to złe.

Kult „swojactwa” nie mógł prowadzić do niczego dobrego. Środowisku dziennikarskiemu, w tym i zespołowi naszej gazety, potrzebny był zastrzyk nowej, zdrowej krwi. Szczególnie stało się to widoczne po burzliwym, pogrudniowym zebraniu redakcyjnym w siedemdziesiątym pierwszym. Trwało ono dwa dni (z przerwą na sen). Było to wielkie prapież wszelkich brudów.

Zmiana kierownictwa redakcji, przybycie kilku zdolnych dziennikarzy z Wrocławia, Krakowa, Lublina i Warszawy, odmłodzenie redakcji — to wszystko zdecydowało o odnowieniu gazety i twórczości dziennikarskiej. W latach siedemdziesiątych Białystok staje się ośrodkiem, w którym triumfuje odnowa, literatura faktu, a głównie reportaż. To właśnie w białostockiej prasie ukazują się wiele reportażów, które ukazują narastanie w naszym życiu wielu ujemnych i niepokojących zjawisk.

Białostocki dziennikarstwo odnosi sukcesy w konkursach dziennikarskich. Liczą się w kraju. Został nareście przełamany fatalny kompleks prowincji. Wspomnę także, że nasza gazeta, po raz pierwszy w swej historii, ogłasza ogólnopolskie konkursy na zwierzenia ludzi. Myślę o „Konflikcie współczesnym”, „Obliczu współczesności” czy ostatnim konkursie „Portret Polaka współczesnego”.

Pamiętam, że w latach sześćdziesiątych chciałem wziąć udział w jakimś konkursie dziennikarskim. Potrzebne było zgłoszenie moich publikacji do konkursu przez kierownictwo redakcji. Udałem się więc do ówczesnego naczelnego i poprosiłem o takie ewentualne zgłoszenie. Spojrzał na mnie jak na wariata.

— Panie redaktorze, z Białegostoku na krajowy konkurs?

— A cóż w tym złego?

— Lepiej się nie ośmieszajmy.

Otóż to „Swojak” może liczyć na uznanie tylko „swojaków”. To myślenie przyniosło białostockiemu środowisku dziennikarskiemu w latach sześćdziesiątych ogromne szkody. Nic dziwnego, że co zdolniejsi i ambitniejsi szukali szczęścia gdzie indziej. Uciekali od nas. Nie mieliśmy do nich pretensji. Cieszyliśmy się z ich sukcesów w innych rejonach kraju. Było nam jednak wstyd.

— Ale wróćmy do przełomów. Jak wspominałem, Czerwiec 76, podobnie jak Marzec 68, nie daje też nam powodów do dumy. Dość biernie przyglądaliśmy temu wszystkiemu co się działo w naszym regionie. Przykre, ale i tym razem niepotrzebnie wdał się w wojnę górną na strajkujących robotników. Lepiej już będzie nie powracać do tych smutnych wspomnień.

Bynajmniej to jednak nie może oznaczać, że Czerwiec 76 niczego nas nie nauczył. Przede wszystkim ukazał nam, że w kraju dzieje się coś nie tak. Propaganda sukcesu, której wielość i z nas holdowaliśmy, zaczęła się po Czerwcu 76 coraz bardziej kompromitować.

Sytuacja między Czerwcem 76 a Sierpniem 80 przypomina okres przedzjadający Październik 56 i na kilka lat przed Grudniem 70. Wygląda to tak, jakby ktoś przed trzydziestu kilkoma laty dokładnie zaprogramował wszystkie kryzysy i przełomy w Polsce Ludowej. Nie więc dziwnego, że nasze redakcyjne i dziennikarskie dyskusje stały się w miarę zbliżania się Sierpnia 80 coraz burzliwsze. Punkt kulminacyjny krytyki przypada na czas poprzedzający VIII Zjazd PZPR. Można to zresztą przeszedł na łamach naszej „Gazety”.

Sądzę, że podobnie jak w Październiku 56, weszliśmy w Sierpień 80 gołymi. Nie daliśmy się całkowicie zwirować propagandzie sukcesu, potrafiliśmy w „GW” zachować spójność i krytyczność na wiele ujemnych zjawisk. Oczywiście, w takich rozmiarach i obszarach, jakie w owych czasach były możliwe. Wale to nie oznacza, że nie widzieliśmy swych błędów, pomyłek i porażek.

Najtrudniej wspominać czas najnowszy. Jest on jeszcze w naszych sercach i umysłach zbyt żywy, aby zachować do niego pewien niezbędny dystans historyczny. On jeszcze trwa. Niesie z sobą wiele pytań i pytańników. Prawdziwym trzęsieniem ziemi w białostockim środowisku dziennikarskim było niewątpliwie wrześniowe zebranie SDP. Do głosu doszli młodzi. Mówili pełnym głosem o tym, co ich boli, niepokoi i napawa nadzieją.

To myśmy zainicjowali zwolnienie Nadzwyczajnego Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Myśmy też jako pierwsi w kraju zaproponowali opracowanie „Raportu o stanie komunikacji społecznej w Polsce”, w tym środków masowego przekazu, a więc i prasy. Zastanawiam się, czy w pewnym sensie nie było to wynikiem złączenia w latach siedemdziesiątych owego „swojactwa” i kompleksu prowincji? Sądzę, że tak.

Zmienilo się także informacyjne i publicystyczne oblicze gazety. Przez ten rok przeżyły się po naszych łamach ważne dyskusje, polemiki i rozmowy dotyczące ważnych, drażliwych problemów politycznych, społecznych, ekonomicznych. Zauważyli to zresztą natychmiast nasi przyjaciele i przeciwnicy. Posypały się pochwały i przysięgi. Jak w czasie każdego przełomu. To też pewna, cykliczna prawidłowość, z którą udało nam się już jakoś pogodzić.

— Ale bądźmy szczerzy: nie może być sukcesów bez porażek. Jak wszędzie w burzliwych, gorących czasach i w naszym dziennikarskim środowisku nastąpiły podziały i rozkazy. I nie chodzi tu o wielość poglądów. To jest nam potrzebne. Gazecie — również. Boję się jednak o rozbicie wspólnego frontu, narastanie animozji i nieufności, zastąpienie dyskusji i wymiany zdań demagogicznym krzykaniem.

Z własnego doświadczenia wiem, że dezintegracja środowiska dziennikarskiego, szczególnie w okresach przełomowych, nie mogła przynieść nam, dziennikarzom, nic dobrego. Nie wiem, czy może się miłe w swych nieco pesymistycznych ocenach i lamentach. Bardzo chciałbym się mylić. Może mają rację ci, którzy twierdzą, że my, dziennikarze starszego pokolenia, jesteśmy „skaleczeni” poprzednimi przełomami. Braliśmy przecież później mocne cięgi.

To prawda. Ale nikt też nie może zaprzeczyć, że jesteśmy bogatsi w doświadczenia. Zarzucają nam młodzi koledzy, że jesteśmy obojętni i za spokojni w ferowaniu sądów i opinii, cechując nas pewnym konformizmem, a nawet zwykłe asekuramenty. Częściowo może i mają rację. Ale czy spokój i rozważa nie powinna w takich dramatycznych czasach współegzystować z gorącką i zapalczywością młodych? Z takiego mariażu — w moim głębokim przekonaniu — może wyjść coś dobrego i pożytecznego.

Bo muszą się przyznać, że nie pragnę przeżyć następnego przełomu. Jak na jedno życie — pięć już wystarczy.

STANISŁAW ŚWIERAD

Fragment listu otwartego dziennikarzy „GB” do Plenum KW PZPR, obradującego w październiku 1956 w Białymstoku. List ten zawierał ostrą krytykę dotychczasowych, nakazowych metod kierowania partijną. Odbił się głośnym echem w całym województwie.

Proletariat wszystkich krajów, łączcie się! ★ A 1

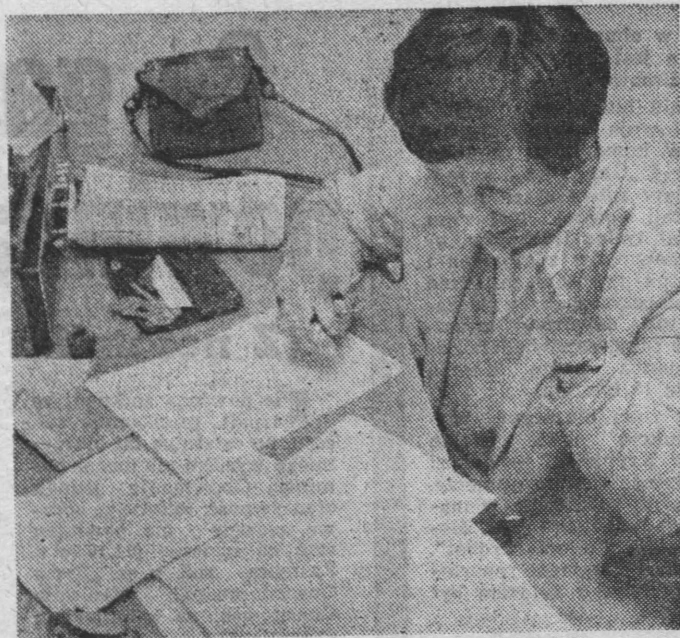
GAZETA BIAŁOSTOCKA

KOK VI Nr 250 (1982) wtorek, 30. X. 1982 r. 4.00 zł

Bracia Węgrzy, zaprzestańcie w Wy i my jesteśmy po tej po stronie wolności i

Apel K C I

czyńskie i pilskie), „Gazeta Robotnicza” (wrocławskie, leniogórskie, legnickie i wałbrzyskie), „Gazeta Lubuska” (zielonogórskie i gorzowskie) i nasza — „Gazeta Wsteczna”.

Czytelnik
w redakcji.

Dziennikarz tworzy.

- Nie dowieźli pieczywa...
- Na szosie pod Siemiatyczami zdarzył się wypadek...
- Waleśa spotkał się z Głompem...
- Walki w Namibii...
- Napisać o ważnym zebnaniu w „Fastach”...

Codzienny potok informacji, faktów, komentarzy, rozmów i wywiadów płynie do budynku przy ul. Wesołowskiego. Tu mieszka główny sztab ludzi redagujących „Gazetę Współczesną”. Tu zapadają decyzje o kształcie jutrzejszego numeru, selekcjonuje się materiały, przygotowuje się je do druku. Tu się wszystko zaczyna...

Tę kolumnę w naszym jubileuszowym wydaniu chcemy poświęcić samej gazecie, przedstawić cały proces jej powstawania: od rodzącej się idei napisania tekstu do rąk Czytelnika. Poświęcamy ją również ludziom pracującym przy gazecie od „A” do „Z”, często nieznanym, o nazwiskach nie pojawiających się w „GW” — wszystkim, bez których gazeta nie trafiłaby do Czytelnika.

Ten tańczuszek zdjęć obrazujących poszczególne etapy rodzenia się gazety jest jednakowo ważny. Każde ognisko poświęć samej gazecie, przedstawić cały proces jej powstawania: od rodzącej się idei napisania tekstu do rąk Czytelnika. Poświęcamy ją również ludziom pracującym przy gazecie od „A” do „Z”, często nieznanym, o nazwiskach nie pojawiających się w „GW” — wszystkim, bez których gazeta nie trafiłaby do Czytelnika.

Zajmijmy się tymi zaakceptowanymi. Codziennie zbiera się ich kilkadziesiąt — tyle mieści się w przeciętnym numerze naszej gazety.

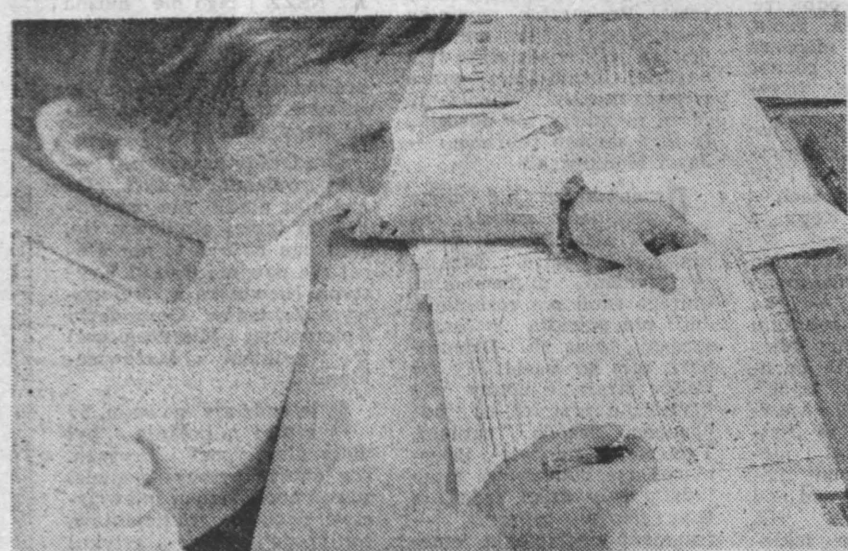
Pieczotowicie dobrane, wyselekcjonowane, przepisane na czysto przez redakcyjnych mrowce — maszynistki, nabitowane teksty trafiają do grafików. Redaktorzy archiwalni to swego rodzaju teści gazety. Ich sprawa jest ładna, poprawna, przejrzysta rozmieszczenie wszystkich materiałów na czterech, sześciu czy dwunastu stronach numeru. Oczywiście istnieją w tym względzie ze-

rują również dziennikarze. Są to depeszyści będący lepiej poinformowani nie tylko od DTW, ale i od anencji „Jama”. Na ich biurka bowiem spływają jeszcze „porace” teksty z krajowych i zagranicznych dalekopisów.

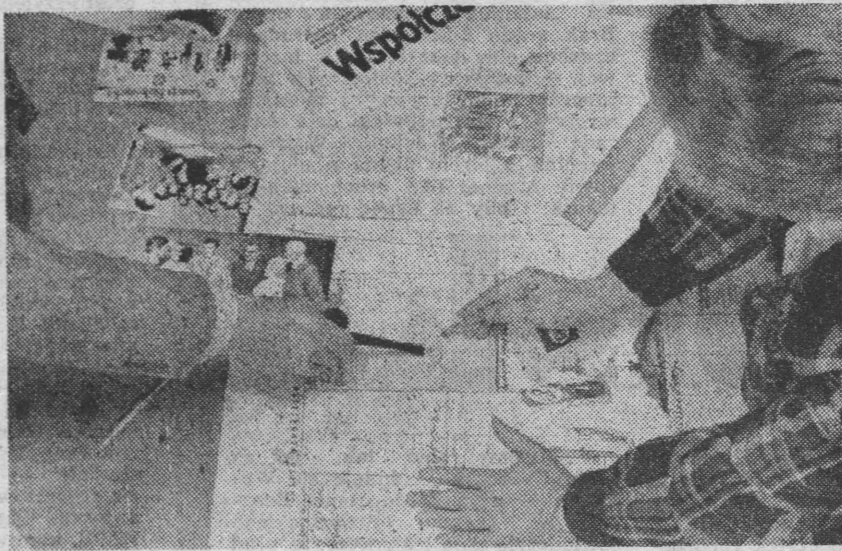
Nie sposób również zapomnieć o korekcie. To jedno z ważniejszych zajęć. Korektorki są wszędzie i widzą wszystko. Nie przepuszczą żadnego choćby drobniaczka.

Korekta jest od chochlików. Natomiast od chochlików strzeże nas inna firma — cenzura. Cenzorzy muszą również wszystko przeczytać. Ich symbol to widoczne na zdjęciu nożyce. Strzeżąc oby-

24 godziny z życia „Gazety”



Po autorze, z tekstem musi zapoznać się sekretarz redakcji: poprawić, zaadiustować...



Redaktorzy graficzni planują układ strony.



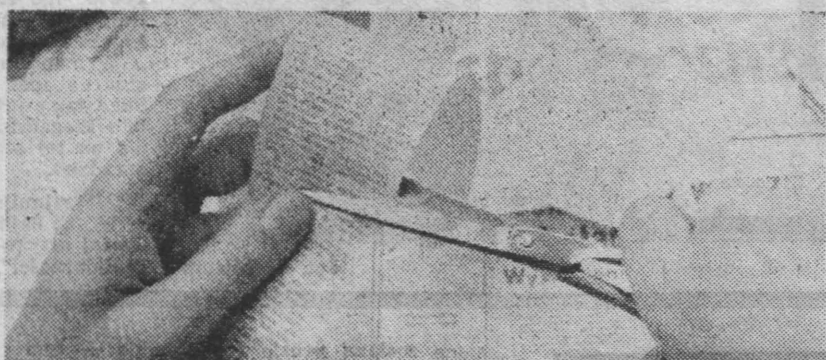
Zaprobowany materiał przepisywany jest na „czysto” przez redakcyjne maszynistki.



I początek pracy drukarzy. Linotypiści w akcji.



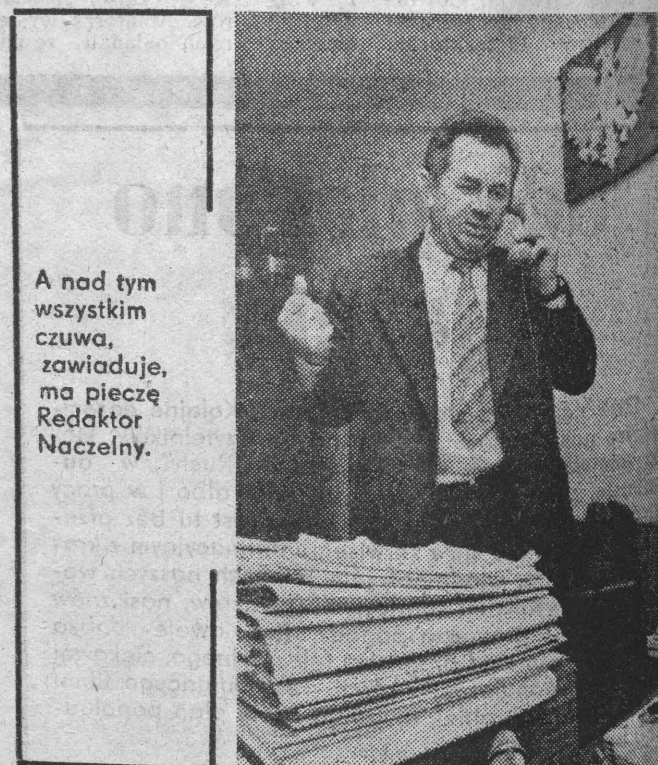
Metrapaź i redaktor techniczny przy drukarskiej ramie.



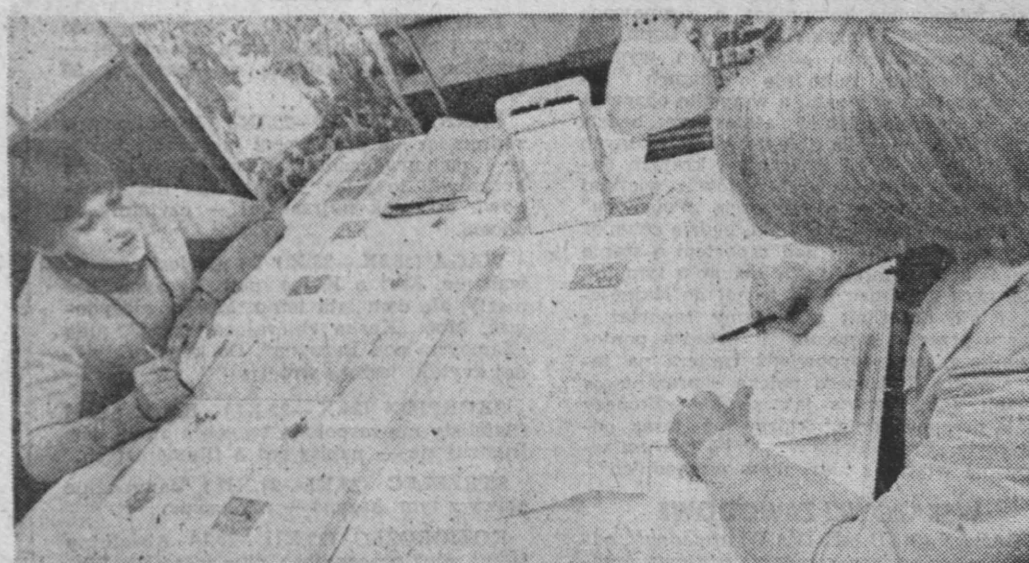
Czuwa też cenzor, z nieodłącznymi nożycami.



Uff, nareszcie rusza maszyna rotacyjna. 150 tysięcy egzemplarzy w kilka godzin.



A nad tym wszystkim czuwa, zawiaduje, ma pieczę Redaktor Naczelny.



Złowczynie cichliki w czasie nocnego dyżuru. Korekta zawsze czuwa.



Teraz trzeba nadzielić ile komu egzemplarzy...



Paczki z gazetami trafiają do kiosków, gdzie już ustawiła się spora kolejka.

my nikogo nie obrażali, nie zdradzili tajemnic państwowej, nie drukowali pornografii. Ostatnio Sejm wydławił poprawki cenzury warunków pracy.

I wreszcie gotowe, zapakowane w gustowne paczki gazety wędrują do Czytelnika. Tę drogę organizuje im kolportaż. Kierowcy „żuków” i „nysiek” z napisami „przebieg prasy” docierają wszędzie, do każdego miasteczka, do każdego kiosku. Wyrużają rannym świdem i za kilka godzin gazeta jest już w rękach Czytelników.

Jeszcze tylko kolejka (a jak, i za gazetami są...) i już można czytać.

Nad wydaniem każdego numeru pracuje grubo ponad setka osób. Nie sposób wszystkich wymienić, chociaż na koniec warto wspomnieć o redakcyjnych mistrzach kierowniczych, kierownikach, którzy jeżdżą z dziennikarzami znając chyba najlepiej, ze wszystkich, cały teren trzech województw, którzy byli niemal w każdej uści.

Kolejny dzień. Od rana trwa praca nad wydaniem kolejnego numeru. Pod wieczór przeczytane już gazety kończą żywot. Gazeta żyje tylko jeden dzień: taka jest jednodniówka, która po krótkim, ale intensywnym życiu trafia na makulaturę. Cykl się zamyka. I tak od trzydziestu lat.

Fot.: KRZYSZTOF SWIDERSKI
Tekst: EDMUND BUREL

REFLEKTOR

„REFLEKTOR” jest tym miejscem w naszej „Gazecie”, które przeznaczamy na wybór tekstów poruszających najważniejsze i „najgłośniejsze” zdarzenia z naszej polskiej współczesności. Z okazji jubileuszu odpowiadamy od tej zasady i zamieszczamy w „Reflektorze” teksty o dwóch „Gazetach Białostockich”; o tej sprzed 69 lat i o tej, która pod zmienioną nazwą, ukazuje się do dzisiaj.

1 grudnia (18 listopada według obowiązującego wówczas oficjalnie starożytnego stylu) 1912 r. ukazał się pierwszy numer „Gazety Białostockiej” poświęconej „sprawom Białegostoku i guberni grodzieńskiej”. Było to dzieło grupy młodych entuzjastów (Konstanty Kosiński — redaktor i wydawca, Józef Dryl, Henryk Tesztow, Ludwik Komarnicki) wspartych przez starszych, zaprawionych w bojach społecznych (przypadkiem Franciszek Gliński, historyk, korespondent pism wileńskich, warszawskich i petersburskich „Kraju”). Zainteresowanych dziejami czasopisma odsyłamy do opracowań monograficznych (ostatnie pióra Z. Sokół w t. IX „Rocznika Białostockiego”), tu zaś proponujemy przegląd niektórych tylko kwestii prezentowanych na łamach dalekiej — w czasie i charakterze — krewnej miłośnicy nam panującej „Gazety Współczesnej”.

Słowo wstępne:

„Do rąk Waszych, Szanowni Czytelnicy, oddajemy dziś pierwszy numer „GAZETY BIAŁOSTOCKIEJ”, pierwszej stałej gazety polskiej w kraju tutejszym... Bedzie ona pismem bezpartyjnym i niezależnym od żadnych grup”. Redakcja miała nadzieję, że stanie się „rzeczywiście gazetą społeczną” i że — tego już nie napisano we „wstępie” — uda się jej powalczyć z „władzą” i „władzą” — myślenie czułością carskich cenzorów.

W pierwszym też numerze znalazł się wierszyk na powyższy temat. Przebaczymy autorowi (R-ski z Grodna) potknięcia w zakresie formy. Oto jedna ze zwrotek:

„Obcy wszelakim „Jabłom”
Kochajmy to, co swoje;
Kraj nasz i przeszłość naszą
I nasze sławne boje...
Od równiny legnickiej
Aż po mury Polocka —
Ile krwi tam! Mów o niej
„Gazeta Białostocka”

Cenzor puścił „Polock” — nie wiedział o wyprawach Stefana Batorego, czy ustąpił przed regułą zachowania rymu? W rok później, już w tekście pisanym prozą, zastanawiano się nad celami i znaczeniem czasopisma prowincjonalnych (czytaj — prasy ukazywającej się w regionach o mniejszych aspiracjach i możliwościach kulturalnych). Redakcja „Gazety Białostockiej” akceptowała opinię, iż prasę należy zaliczać do „rzędu wielkich mocarstw wszechświatowych”. Zauważano przy tym, że „wszędzie, gdzie publiczność zrozumiała doniosłą rolę, jaką odgrywa w życiu danej okolicy miejscowa gazeta, staje się ona najdroższym przyjacielek i ostatniej, jej trwałym i pewnym oparciem”.

Wróćmy do pierwszego numeru „Gazety”. Autor ukrywał się pod pseudonimem „Obywatel”. Podjął próbę określenia sytuacji Polaków w Białymstoku na przełomie 1912 i 1913 roku. Padł zarzut apatii i senności, marnowania zdobytych „lat zawieruchy”. Zdawało się w trakcie rewolucji 1905—1907 r. (o nie) to mowa w zdaniu poprzednim, że „społeczeństwo wchodzi już na drogę politycznej pracy dla przyszłości i rozwijając się normalnie, podąża będzie powoli lecz stale ku wyżynom duchowym i dobrobytu materialnemu”. Górze wzięło niestety zmęczenie, zapanowała cisza, aktywni machnęli ręką na działalność społeczną. „Zdaje się, że ludzie zapomnieli nawet o swoich prawach. A jednak znać je i użyć dla dobra bliźnich jest świętym obowiązkiem każdego człowieka. My Polacy nie zawsze pamiętamy o tym naszym obowiązku, a skutki tego bywały bardzo żałosne. Bardzo często można u nas widzieć, iż kiedy staje się zło z własnej winy naszej, wyrzekamy wtedy na los i jego przeciwności, na świat, na ludzi i w ogóle na wszystko oprócz siebie”. Tak właśnie pisało niemal 69 lat temu.

Nieszczęśliwa prowincja:

W numerach 2(9)—4(11) „Gazety Białostockiej” z końca stycznia i lutego 1913 r. wzrok przykuwały artykuły o siłach przydatnych do działań na niwie społeczno-narodowej.

Inteligencja. Nadzieja i ożoda społeczeństwa, ale nie na prowincji białostockiej. Pierwsze nieszczeście polegało na tym, że „każda żywnościowa, energiczniejsza, inteligentniejsza jednostka ucieka z prowincji do stolicy, gdzie ma nadzieję wybieć się, zadowolić swe ambicje. Pozostają zaś osobniki zwykłe cięższe, apatyczniejsze (brrr!)... Kogoż zaś losy zapędzą ze stolicy na nasz padoł, ten uważa się za chwilowego jej mieszkańca... jęczy i narzeka... że nie ma z kim pracować, uważa się za nieszczęśliwego wy-

gnańca, który potrafi tylko szlochać i wszystko dookoła krytykować — to jest nasze drugie nieszczeście”. A trzecie? To nadmiar słów, gdy trzeba brać się do wspólnej roboty. Trudno się dziwić, skoro w tym szczupłym gronie wyróżniano „konserwatywów, prawych i lewych narodowych demokratów, postępówców rozmaitych odcieni, aż do soc-

jalistów włącznie”. To „a2” brzmi tylko dziś

falszywie.

„Kakokracja” — majątni, ale samolubni, zwalczający wszelkie zaciechy myśli (rodowej

arystokracji — zdaniem redakcji — nie było wówczas w ogóle w Białymstoku).

Zakoła największą miał stanowić jednak członkowie „drobnomieszczańskich ciwier” i „półinteligentnych sfer, stanowiących twardą

część polskiej ludności naszych miast”. Ci „członkowie” przetrzymali, czasem wyjątkowo

nieco poza obręb swojej parafii, coś niecoś w świecie widzieli, a ponieważ jako mało przy-

gotowani i zawsze mocno zarozumiali nie chęć i nie umieli zastanowić się i doprowadzić do porządku nabyte wiadomości, przeto

blądza w poglądach na świat i otaczającą

zjawiska”. Jest to swoisty balast złożony z

osób zachłannych, zarozumiałych, ciasno ego-

istycznych. Można powiedzieć, że

„Gazeta Białostocka” niejednokrotnie pod-

dawała totalnej krytyce „szkodników spo-

łecznych”. Oto kilka tyłów: mentor-rutyniarz

(wszystko wie i dowodzi przy każdej okazji), wleczący sztycha (co też mogą oni

sensownego wymyślić, u nas, w Białymsto-

ku), zawzięty pesymista (tu mi kaktus wy-

rośnie...), no i mrowie „stapulek umysłowych”.

„Ludzie ci, do brzozy nawet zresztą i nawet

chętni, wciąż oczekują jakiegoś nakazu, man-

datu, zlecenia, bez którego nie mogą się po-

udzić żadnej pracy o szerszym pokroju, gdyż u-

myślenie ich jest w stanie ciągłej wątpliwości:

czy ma prawo? Kto mi poruczył?”.

Była też mowa o naszym niedołęstwie fa-

chowym (sprowadzamy z zagranicy samo-

chodność, ale także igły i ołówki).

XI.1913 r.) o zafascynowaniu innymi kraja-

mi, braku wiedzy i niedostatkach życia kul-

turalnego, upadkach moralnych (alkoholizm,

pozorne filantropii, dyskryminacji kobiet,

studentach wyciągających ręce po datki, o

ciężkim losie robotników (artykuły, listy pro-

letariatus, przedruki prac teoretycznych na

ten temat).

Nad tym wszystkim słyhać było powta-

rzane wielokrotnie słowa apelu o czyn, go-

dzę, twarde walkę o prawa. W Galicji już

ćwiczyli strzelcy, w Białymstoku obowią-

wały ciągle hasła pozytywistów, ale pamię-

tajmy o kranocow innych warunkach dzia-

łania — tam swobody pod łaskawym pa-

nowaniem Franciszka Józefa I, tu samowola

zandarnów Mikolaja II.

„Nie ma chyba narodu na świecie, któryby

tak kochał swoją ojczyznę jak my Polacy. A

jednak... nie widzimy cudów żadnych. Mitu-

jac swój naród, pragniony gorąco, był bogaty

mimo to, on był i jest ubogi. Pragniemy

my, by lud nasz był oświecony — a on miał

i ma tej oświaty za mało. A tymczasem są-

się nasi, Niemcy, ani w połowie nie go-

rejają taką miłością ku swojej ojczyźnie jak

my — i są bogaci, ich lud jest oświecony...”

Artykuł ten opatrzone tytułem — „Bierzmy

się do czynu!”. Ano bierzmy!

Kto my jesteśmy?

Już w numerze 2 „Gazety Białostockiej”

przedrukowano spis przykazań i grzechów

narodowych. Żaden cenzor nie pusiłby wów-

czas takich tekstów od redakcji, co innego

jednak w kronice, jako informacja z obco-

O czym pisała nasza starsza krewna kiedy się zaczynał dwudziesty wiek?

państwa (zabór pruski). Przykazanie pierw-

sze: Ojczyznę kochać gorąco, szanuj jej prze-

złość i wierz w jej przyszłość; grzech głów-

ny: cudzy obyczaj i cudzy język wpro-

wadzać do domu swego. Bo choć nie mieliśmy

światłości politycznej, zginąć nie mogli-

śmy. „My żyć chcemy, żyć pragniemy

na przekór wszystkim złym siłom, które

pragną naszej zagłady”.

My to znaczy kto? Pisano przeciw oficjal-

nie także o „Litwinach o polskiej kulturze”

oraz „Białorusinach o polskim języku”, by-

li i „tutejsi”. Pamiętamy o budzeniu się

świadomości narodowej, także o represjach

carskich i świadomości fałszerstw staty-

styk ludności, jak i o tym, że być wówczas

Polakiem — „to żaden interes: Polak to „ino-

rodzie”, to obywatel drugiej klasy, któremu

tak wiele „wspreszczaję”, a bardzo mało

„dozwolę”. W Białostockiem, odmiennie niż

w Królestwie Polskim (granica przebiegała

Biebrza, Narwia — Łapy już w Królestwie

— Nurem i Bugiem nie można było przed

zi wojną nauczać po polsku nawet religii ka-

tolickiej. Redaktor „Nowosti Biełostoka” u-

żył w swej gazecie terminu „miejscowa ko-

lonia polska”, a 50 rubli kary miał zapłacić

go w kawiarni „Ritz”, który zażądał wy-

stąpienia rachunku w języku polskim.

Stąd i ciągle wezwania o wpajanie patri-

otyzmu dzieciom („Szczęśliwe narody, które

posiadają samodzielny byt polityczny”) o

nauczanie w domach historii („Gazeta Biał-

ostocka” zamieszczała biogramy wielkich

Polaków i sporo innych materiałów z naszej

przeszłości, o zachowaniu godności i honoru

„musimy dbać, aby naród zawsze pozostał

sobą, pozostał świadomym swych celów i

ideów, nikomu z niewolniczym pochleb-

stwem w oczy nie patrzyć, nikogo nie starać

się kaptować ustami i wyrażaniem

własnego „ja”, i nawet — uważa redak-

cja „Gazety” — „jeśli nie osiągniemy jakichś

korzyści realnych, to w każdym razie zasłu-

żymy na szacunek wśród swoich i obcych, a

i to przecież coś warte”.

Łatwo się domyślić, jak w środowiskach

polskich Białostocku oceniano urzędników,

dojnostników i funkcjonariuszy carskich. W

losujemy pięć nagród książko-

wych. Na kopertach prosimy

zaznaczyć: „Krzyszówka z nr

177”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Z NRU 172

POZIOMO: szczątek, krzyżówka,

znos, skóra, leże, gestawa, trakt,

duka, gaska, ampla, szapa, ćwik,

trabant, liże, zamek, Koźle, be-

kon, zbior, Daku, emeryt, neon,

wyżak, Baun, Astrachan, artyz-

ka. PIONOWO: przekas, żyłtka,

rośga, skos, zisep, zasa, tró-

rdzka, krasianka, trzeka, rap,

szczęciok, mebel, Linx, „Argo”,

śróżówka, tabu, mienicka, toba-

gan, krezus, żrebak, edykt, stara,

rasa.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzy-

żówki zamieszczony w „Gazecie”

nr 187 z 21 sierpnia br., nagrody

książkowe wylosowali: Helena

Palkiewicz i Konstanty Filipuk z

Białostocku, Elżbieta Kulusz z

Łowicza, Aleksander Świętochowski

z Czeremchy, oraz Elżbieta

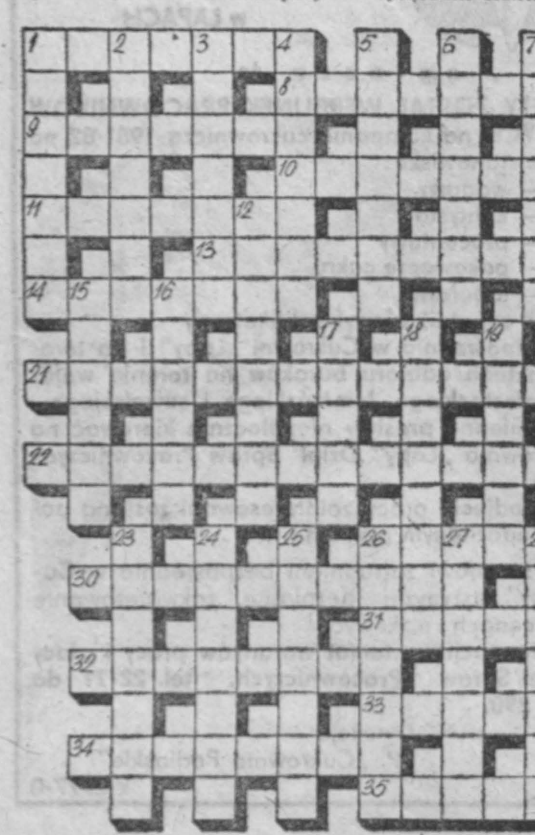
Marelska z Sokółki.

Nagrody przesyłamy pocztą.

KRZYŻÓWKI

POZIOMO: 1) adnotacja do-
dana do tekstu, 8) pracownik
obsługujący np. koparkę, 9)
Dąbrowskiego — do śpiewa-
nia, wielkanocny — do jedge-
nia, 10) reperkusja, ale bar-
dziej swojsko, 11) przepływa
przez Wasilków, 13) sekret,
tajemnica, 14) tkanina przy-

jenna w dotyku, 21) nieumie-
jętność dobrego zarządzania
czyms, 22) pewność, przekona-
nie, 26) kojarzy się z Evertem
i Michalskim, 30) uciełka
facjata, 33) ściga podatki, 34)
postać z „Pana Tadeusza”, 35)
wyłącznik elektryczny.



PIONOWO: 1) ustąpienie z urzędu, 2) kucharski albo prawny, 3) żłosiwa lronia, 4) uszczypliwość, 5) mikroskopijna wapienna płytka, będąca elementem szkieletowym niektórych glonów morskich, 6) primaaprilisowa solenizantka, 6) inaczej borsuk, 7) trzeba mieć przynajmniej zielone, 12) postępek godny pogardy, 15) sztyderca, dowiepnis, 16) stolica jednego z państw afrykańskich, 17) część jakiegoś obszaru, 18) Isadora Duncan lub Mata Hari, 19) wielki, gesty las, 20) przetrwanie do piersi, 23) antenat w kopalni, 24) na niej zebra, 25) muskuł, 26) do odurzania dywanów, 27) przesąd, 28) wysamozny kawałek stoniny, 29) odmiana czerwieni.

HELLES
Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, roz-

losujemy pięć nagród książko-
wych. Na kopertach prosimy
zaznaczyć: „Krzyszówka z nr
177”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI
Z NRU 172
POZIOMO: szczątek, krzyżówka,
znos, skóra, leże, gestawa, trakt,
duka, gaska, ampla, szapa, ćwik,
trabant, liże, zamek, Koźle, be-
kon, zbior, Daku, emeryt, neon,
wyżak, Baun, Astrachan, artyz-
ka. PIONOWO: przekas, żyłtka,
rośga, skos, zisep, zasa, tró-
rdzka, krasianka, trzeka, rap,
szczęciok, mebel, Linx, „Argo”,
śróżówka, tabu, mienicka, toba-
gan, krezus, żrebak, edykt, stara,
rasa.

NAGRODY
Za prawidłowe rozwiązanie krzy-
żówki zamieszczony w „Gazecie”
nr 187 z 21 sierpnia br., nagrody
książkowe wylosowali: Helena
Palkiewicz i Konstanty Filipuk z
Białostocku, Elżbieta Kulusz z
Łowicza, Aleksander Świętochowski
z Czeremchy, oraz Elżbieta
Marelska z Sokółki.

Nagrody przesyłamy pocztą.

FF-felieton

Budopol z Pizsa, do spółki z szesnastoma innymi firma-
mi, przez dresień lat budował szpital w Grzejewie. W o-
biektie, w którym nie działa właściwie nie próżno oświe-
tlenia — spisano ponad dwa tysiące poważnych usterek,
a tymczasem Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i
Osiedli w Łomży na skargę lekarzy ma tylko jedną odpo-
wiedź: „ingerowanie niezorizonowanym w wykonawstwo
jest bezprawne”.

„Przyjaciółka” poinformowała czytelników, że w ośro-
dku wczasowym Banku Gospodarki Żywnościowej „Knieja”
nad Jeziorem Rajgrodzkim była na obiad pieczeń wiewro-
za, sałatka z cykorii i kompot, a na etacie „kaowca” Jerzy
Milosz.

Student filozofii, historii i prawa z berlińskiego Uni-
wersytetu im. Humboldta, czolowego przedstawiciela
XIX-go katastrofizmu, na tegoroczną praktykę wakacyjną
na wybrali nowe osiedle mieszkaniowe w Łomży, wyko-
nując przy okazji szereg robot ziemno-budowlanych.

Józefowi Dąbrowskiemu ze wsi Piętki Gręski, w Łom-
żyńskim komisja odebrała już przyznaną dmuchawę, bo

choźebski (sekretny redaktor): Janina Sza-
chelska; Krzysztof Swiderski; Agnieszka
Swiderska; Stanisław Swierad; Leszek Ta-
rasiewicz; Henryk Wilk; Marian Wisniewski
(zastępca redaktora naczelnego); Bogdan
Wojcik; Anna Zaremba; Zdzisław Zarem-
ba; Alicja Zielińska.

KOREKTA
Jadwiga Andrzejewska; Wanda Bochenko;
Helena Gawryluk; Jolanta Nierwińska (re-
dakcja); Danuta Raciewicz; Zofia Sokolow-
ska; Anastazja Szachowicz; Maria Wisniew-
ska.

POZOSTALI PRACOWNICY
REDAKCYJNO-TECHNICZNI
Teresa Anuszkiewicz; Monika Baczewska;
Zofia Brzezinska; Halina Czupier; Danuta
Dzięk; Stanisław Fiedorowicz; Janina Ge-
minz; Helena Łopatecka; Barbara Macha;
Jadwiga Naumowicz; Alicja Nowak; Lucyna
Ostapiewicz; Helena Stachowicz; Helena
Strzelinska; Wacław Suchołowicz; Krystyna
Wolska-Polakowska.

PRACOWNICY OBSŁUGI
Anna Gutiewicz; Anna Halińska; Regina
Mullerowicz; Maria Polak; Raisa Szara.

Gazetowy jubileusz

1 września 1981 roku ukazała się w kioskach po Bra-
pierszy „Gazeta Białostocka” — regularny dziennik Biał-
ostocki, obejmujący wówczas — jako jedno woje-
wództwo — obecne trzy: białostockie, suwalskie i lom-
żyńskie.

Zanim dziennik dostał się do rąk Czytelników, o miesiąc
wcześniej powstała redakcja. (...) Było nas siedmiu. Sied-
miu absolwentów tej samej uczelni: Ośrodka Szkolenia
Dziennikarskiego przy KC PZPR w Warszawie. Przyjmo-
wano na nią po ostrych selekcjach, i to tylko ludzi, którzy
już mieli poza sobą pewien staż dziennikarski. Byli to:
Mieczysław Rakowski, Tadeusz Bazylko, Kajaetan Gruszc-
ki, Janusz Chudziński, Henryk Kaszkowski, Jan Popraw-
ski i Włodzimierz Chaciej. Z tej siódemki nie ma obecnie
już w gazecie nikogo. A oprócz Henryka Kaszkowskiego
nie ma żadnego z nich także w Białymstoku. Gdzie się
podział, co robią teraz?

Mietek Rakowski — wiadomo,
wicepremier. Tadek Bazylko
Kajetan Gruszczyński — w „Trybu-
nie Ludu”. Janusz Chudziński
nie żyje. Janek Poprawski
w gazecie bydgoskiej. Henryk
Kaszkowski — w białostockiej
Rozgłoszeni Polskiego Radia, Wło-
dźmier Chaciej — nie żyje.
Dopiero w trzy miesiące od
danych ukazania się pierwszego
numera „Gazety Białostockiej”
przychodziła do redakcji nowa gru-
pa dziennikarzy. Było to kilku
na dzień, kilku na tydzień, kilku
na miesiąc, kilku na pół roku, kilku
na rok, kilku na dwa lata, kilku